№ 46. Warszawa, dnia 5 (17) Listopada 1883 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOS

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.—Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

RUCH W PRZYRODZIE.

Ustęp z angielskiego dzieła pana de Vere p. t.

Stray leaves from the book of nature,

(Liście z księgi przyrody.)

Streszczony przez

Sewerynę Duchińską.

(Dokończenie.)

Amfibie za to trzymają się miejsca uporczywie. Żwawa jaszczurka, ropucha, wąż, krokodyl, słowem cały ten szereg istot wstrętnych człowiekowi, nie oddala się z miejsc rodzinnych. Same tylko kraby z Indyi zachodnich i Ameryki południowej odbywają dalekie podróże. Część roku spędzają opodal morza, przytulone w głębi jaskini. Na wiosnę, kiedy ciepło przeniknie chropawą i zimną ich powłokę, wyłażą z kryjówek i całemi setkami a nawet tysiącami, puszczają się w drogę, istna armia w bojowym szyku. Naprzód idą krzepkie samcy, niby grenadyerzy, za nimi ściśnięte w kolumny postępują samice. Zajmują niekiedy przestrzeń całego kilometru. Podczas dnia uciekają w cień przed gorącem, o zmroku wyruszają w drogę, a łoskot ich pancerzy budzi wieśniaków w chatach. Pchane instynktem spieszą najprostszą drogą do oceanu i nic nie zdoła zbić ich z tropu. Jeżeli spotkają dom, włażą spokojnie przez okna a wychodzą stroną przeciwną. Gdy człowiek je zaczepi, stają w odpornym szyku, wyciągają naprzód długie kleszcze, poszczękując niemi głośno. Czasem rozbiegają się nagle spłoszone i znowu łączą razem. Niewiele z nich przetrwa ciężką podróż, większa część pada na drodze, nie dobiegłszy do mety.

IV.

Wędrówki zwierząt.

Ptaki. — Zwierzęta ssące.

Ptakom należy pierwszeństwo wpośród istot wędrownych. Mała ich liczba trzyma się jednej miejscowości, większa nierównie część, obdarzona cudownym środkiem lokomocyi, przebiega ogromne przestrzenie, uciekając od mrozów i zamieci północnych, pod łagodne ogrzane słońcem niebo. Niektóre z tych ptaków mają usposobienie kosmopolityczne. Kruk gnieździ się zarówno w Europie jak nad brzegami morza Kaspijskiego, trzepie zarówno w czarne skrzydła, w Indyach nad dachami Kalkuty, jak na wybrzeżach Japońskich i na równinach północnej Ameryki.

Wogólności jednak ptaki mają własną ojczyznę którą opuszczają w epokach stałych, szukając pokarmu i ciepła. Opatrzność obdarzyła je szczególnym instynktem, mimo wypadkowych zmian meteorologicznych, znają doskonale porę tak odlotu, jak i powrotu do gniazda. Ten instynkt wędrowny, posiadają nawet ptaki wylęgłe w klatce, nienarażone nigdy na zmianę klimatu, ni na brak pożywienia. Ilekroć posłyszą głos odlatujących braci, okazują dziwny jakiś niepokój i gdyby tylko dano im wolność, pobiegłyby w świat z koczowniczą drużyną. Dzielne te istotki znoszą wytrwale burze i zawieruchy. W czasie określonym odbywają daleką drogę, mimo zimna i wichru. Powracają wiosną w miejsca rodzinne, radując serce człowieka.

Każdy gatunek ptaków, ma nietylko oznaczoną porę ale i właściwy sobie sposób odbywania wędrówki. Jedne podróżują osobno, inne zaś tysiącami. Większa część leci przez dzień, spoczywa nocą. Dzikie gęsi tworzą długą kolumnę, jaskółki szeroką linią, bociany wielki trójkąt, ptaki o krótszych nieco skrzydłach, spuszczają się do rzeki i wpław odbywają część drogi. Przepiórki w szczególny podróżują sposób. Kiedy zamierzają opuścić Europę i odlecieć do Afryki, czekają cierpliwie, aż zawieje wiatr północno zachodni. Gdy to nastąpi poruszają jednem skrzydełkiem, drugie podnoszą w górę, pierwsze służy im zamiast wiosła, drugie tworzy jakoby żagiel. Tak przebiegają po za morze śródziemne. Częstokroć znużone muszą spocząć na maszcie okrętu. Lecąc przez morze, zatrzymują się zazwyczaj w Malcie i na wyspach liparyjskich. W polotach przez morze północne, spoczywają w Helgolandzie i Nordensee, a mieszkańcy tych okolic, tak są chciwi na połów przepiórek, jak niegdyś Izraelici na puszczy.

Ciekawa także migracya bocianów, które latem gnieżdżą się w północnej Europie, na drzewach lub chatach wieśniaczych, zimą zaś przebywają na szczytach piramid i minaretów. Żórawie ciągną też ku południowem strefom. Kiedy zrywają się do odlotu, słychać z daleka szum ich skrzydeł, podnoszą się tak wysoko w powietrze, że trudno dosięgnąć ich okiem. Nie lecą w milczeniu jak inne ptaki, ale co chwila wydają okrzyk, zwłaszcza nocą, jakby się zwoływały.

Gołębie w Ameryce północnej, ukazują się w nieprzeliczonych stadach, nikt nie wie zkąd tam przyszły, rozrzucone są po całej przestrzeni od zatoki Hudsońskiej do Meksykańskiej, od Atlanty-

ku do Oceanu Spokojnego. Kiedy na wiosnę mają wysiadać jajka, zbierają się w tak wielkie chmary, że przyćmiewają słońce. Wiadomo, że gołębie mają szczególny zmysł do znalezienia gniazda lub miejsca zkąd je wzięto. Nieraz uwożono je drogą żelazną, o kilkaset mil i wypuszczano z klatki, wtedy krążyły chwilkę w koło, a potem puszczały się do gniazda lotem strzały. Okrągłość ziemi nie pozwalała im rozpoznać miejsca, mimo to pchane dziwnym instynktem, nigdy się nie zmyliły.

Słowiki ulatują razem z Północy na Południe, ale na wiosnę, samice o kilka tygodni wcześniej opuszczają Egipt i Syryą, lecąc z powrotem w strony północne. Z rodziny ziębów, same tylko samice emigrują. Samcy wytrwalsi od towarzyszek, pozostają przez zimę na Północy.

Zwierzęta ssące, mniej ruchliwe z natury jak ptaki i ryby, nie zwykły oddalać się od swych legowisk, niektóre jednak, parte głodem, lub też narażone na szpony drapieżnych ptaków, szukają żyźniejszej paszy i bezpieczeństwa. Dzikie tabuny koni w Ameryce południowej, błąkają się samopas po szerokiej przestrzeni. Osły dzikie wybiegają setkami podczas zimy z Afryki północnej ku cieplejszem, bliższem równika strefom. Gazelle i antylopy, wędrują w tenże sam sposób, a ciężkie słonie błąkają się trzodami po niezmierzonych równinach. Bawoły z amerykańskich sawan, emigrują w oznaczonej porze z Północy na Południe i z dolin na góry, nęcą je źródła wody słonej, a bardziej jeszcze świeże pastwiska. Ilekroć spalono łąki i zielona trawka wyrasta z pod popiołu, mnóstwo tam nadciąga bawołów.

Zkąd wiedzą, że nowa pasza przygotowana dla nich, trudno to odgadnąć. Mówią powszechnie, że śmielsze wybiegają na zwiady i zanoszą wieść głodnym braciom. Małpy ubiegają też daleko szukając pożywienia.

Zwierzęta policzone do domowych, wędrują tylko z woli człowieka. Koń, pochodzący ze stepów Azyi środkowej, nieznany w Ameryce przed przybyciem Hiszpanów, mnoży się dziś na całej przestrzeni stałego lądu, od zatoki Hudsońskiej do Cap Horn. Dzięki człowiekowi, kozy rozrodziły się na górach skalistych, trzody owiec na wzgórzach, bydło rogate na łąkach niezmierzonych okiem. Ale człowiek sprowadził też mimowoli i szkodliwe zwierzęta, szczury nieznane poprzednio w Ameryce, przypłynęły na dnie okrętu, dziś liczniejsze są tam niż w Europie.

Domowe zwierzęta przybyły na Zachód ze Wschodu, zarówno jak i zboże. Dar to nieobliczony, dobrobyt człowieka w wielkiej części zależy od konia, wołu i owcy. La Plata, utrzymuje się tylko z korzyści jakie przynoszą jej gromady bydła, postęp w Australii datują od czasu, kiedy wprowadzono tam trzody owiec.

Cóż nakoniec powiedzieć można o migracyach człowieka? Pierwotne jego dzieje, ciemniejsze jeszcze niż początek zwierząt, użytych przezeń do posługi. U bram jego Edenu, stoi zaprawdę anioł z płomienistym mieczem. Nikt nie wie gdzie była pierwsza jego kołyska, pierwsza doba jego życia pokryta nieprzedartą zasłoną.

Wykazując stosunek człowieka do zwierząt i roślin, można jedynie odgadnąć jego pierwotną siedzibę i udowodnić jedność ludzkiego plemienia. Ponieważ towarzyszące mu zwierzęta, pochodzą wszystkie z wyżyn Azyi środkowej i człowiek musiał tam przyjść na świat, ale w epoce, kiedy w miejscu tych wyżyn, dziś wyschłych i jałowych, ciągnęła się żyzna dolina. Geologowie utrzymują że te góry podniosły się zwolna, skutkiem nieznanego przewrotu, wówczas to ludzkie pokolenia, zajęły okoliczne doliny.

W jakiej epoce mógł nastąpić ten wypadek? nikt na pewno nie powie. Musiało to być po za obrębem czasów, wskazanych ogólnikową tradycyą, najstarożytniejsze bowiem plemiona, połączone ze wschodem węzłem języka, religijnych mytów, pieśni i podań, znalazły już w strefach do których przywędrowały, inne ludy oddawna tam osiadłe.

Owóż, kiedy Celtowie, ci starożytni mieszkańcy stałego lądu Europy, przybyli tu ze Wschodu, spotkali się z tubylcami, których mowa szorstka, obyczaje grubiańskie i zabobony, świadczyły o dawnem oderwaniu, od kolebki rodu ludzkiego. Celtowie sami przez czas długiej wędrówki z Azyi, utracili już wiarę naddziadów i popadli w barbarzyństwo.

Ale gdy chcemy sięgnąć do rodowodu tubylców amerykańskich, tu większy jeszcze napotykamy zamęt. Do rozwikłania tej zagadki, brak nawet promyków objawienia i drobnych nitek tradycyi. Ileż to hipotez postawiono już w tym względzie? W biednych czerwonoskórcach, jedni widzieć chcą wygnane pokolenia żydowskie, drudzy wygnanych Chińczyków. W mowie ich poznają kolejno, to główne zasady sanskrytu, to wpływ celtyckiego języka. Ich legendy mówią ogólnikowo o pierwotnem plemieniu, osiadłem na żyznych dolinach wschodnich, a podbitych przez inne potężniejsze i bardziej rozwinięte plemię, przybyłe od Północy. Wprawdzie zbadanie czaszek, poświadcza różnice tych dwóch plemion, ale nikt nie wie zkąd przyszło pierwsze i nie zna rodowodu drugiego.

Ponieważ formacya geologiczna stałego lądu Ameryki, starsza niż lądów europejskich, ztąd utrzymywano, że w epoce dawniejszej niż dzieje chrześciańskie, odwieczne jakieś ludy, wcisnęły się z Azyi do Ameryki od strony północno wschodniej.

Dlaczego jednak te ludy, nie sprowadziły z sobą zwierząt domowych, tworzących niegdyś całe bogactwo pasterskich plemion? Gdyby zaś utraciły je szczególnym jakim wypadkiem, dlaczego nie przyswoiły bawołu, wigonia i antylopy jak to uczynili Europejczycy, po osiedleniu w Ameryce?

Mimo tej niewyjaśnionej dotąd zagadki, istnieje przecież fakt poświadczony przez myty i tradycye, że wszystkie wędrówki tak ludzi jak zwierząt i roślin, przychodziły ze Wschodu. Też same fenomena pojawiały się ciągle w historyi i pojawiają dotąd.

Ze Wschodu napływały te powodzie ludów, które zburzyły starożytny Rzym, a później zalewały kwitnące państwa, aż do czasu, kiedy Kolumb otworzył nowy świat, owem azyatyckiem plemionom.

Taki ruch ze Wschodu na Zachód powtarza się bezustanku. To jedno z wielkich praw przyrody. Człowiek idzie za biegiem słońca, Wschód jest jego kolebką, a Zachód jego celem.

JAROSŁAW VRCHLICKI.

Motywy Szumawskie. (*)

(Z cyklu poezyi: „Co życie dało".)

Z czeskiego przełożył Miriam.

I.

Duszo marząca! rozmyślasz o grobie,
A tu tajń jego spogląda ku tobie,
Patrz, jak rażony piorunem, zmurszały
Pień się rozpada w pruchno, pleśń, lecz trawy
Z niego wystrzela kłosek zielonawy,
I mchem jedwabnym porósł w koło cały.

Deszcze go, wichry, śniegi biły, gniotły,
Lecz w dziuplę kiedyś korzonki się wplotły,
I młode sosny z niego dziś wzrastają,
Pod nim grzyb, na nim gniazdeczko ptaszyny,
A obok śmieją się dzikie maliny
I swą purpurą usta pociągają.

Tak z tobą będzie. Bo życie jest wieczne!
Jak w otchłań patrzę w te zmiany stateczne,
Przez które świat nasz odradza się wszędzie,
W atomach, które cicho śpią w mogile,
Zostanie tchnienie życia w dawnej sile,
Gdy ja przestanę — śpiewać, myśleć będzie.

II.

Gdzie tylko spojrzeć po ciemnym lesie,
Tam każde drzewo z bojaźnią gnie się.

Gdzie tylko stąpić na mech przydroża,
Obrazki, krzyże lub Męka Boża.

Czuć tu jak znaczył we krwi i pocie
Naród nasz drogę ku swej Golgocie!

III.

Jak skrzydło anioła mgła leci przede mną,
Co ona tam kryje oponą swą ciemną?
Teraz rozrywa się, dzieli.

Gdzie słońce roziskrza topazy perlące,
Tam cudne ujrzałem błonie, jaśniejące
W złocistej światła topieli.

Znów idę w mgle dalej, i myśl ma z tęsknotą
Wspomina tę krótką chwilkę szczęścia złotą,
Te sny, ułudy młodości!

Jak mroczna wichura przeszłość się przewala,
A w głębi potoku wzdęta szumi fala,
Grzmi lecąc, pieni się, złości...

IV.

Jak złota jasność obok cienia
Tyś ze mną,
Jak miesiąc niebo rozpromienia
W noc ciemną,
Jak biały gołąb w czarnym lasku,
Jak śpiew słowika w sępów wrzasku,
Tyś ze mną!

(*) Szumawa jest to piękna górzysta i lesista część Czech.

A smutne lasy te i niwy
Się chwieją,
Jak w słońcu na twój odgłos tkliwy
Się śmieją,
I myśli moje, sny i dumy
Znów na wesołe lasów szumy
Się śmieją.

V.

Wszędzie pył złoty, dzień taki wesoły,
W słońcu lśnią ptaki, motyle i pszczoły;
Dokoła jodeł, brzóz, dębów korony
Złocisto świecą, jaśniejsze ma tony
Dzisiaj potoczek, co grzmi przez kamienie,
Mech dzisiaj świeższy, większe oświetlenie
Na krzakach malin, stary pień spróchniały
Połyska w słońcu, jak ze srebra cały,
A tam jezioro, co z łona skał zieje,
Gdzie deszczem cieniów każda gałęź wieje,
Dziś skier tysiącem, na powierzchni świeci,
Wszystko jest pieśnią, co biega, co leci,
Ptak, co się wznosi, i pień, który pada.

A jednak smutek szczególny się wkrada
W tę radość całą. Tu wesołość ścicha,
Ten pra-bór w koło tak sennie oddycha,
Pełny jest blasków, zdrojów, dźwięczny, świeży,
A przecież na nim ciężki smutek leży.

VI.

Ptak śpiewał nade mną:
„Swą pieśnią tajemną
Mówię wyraźnie dość,
Tyś tutaj tylko gość!"

Dąb mówił: „Idź dalej,
Przez skały, wzdłuż fali,
Przez lasy, przez wód prąd,
Lecz czy wrócisz ty ztąd?"

A tuż rzekł mi strumień:
„Wstydź się i zarumień,
Pośród przepychów tych
Nie zrzucasz więzów swych!"

I westchnął las cały,
Mnie przebiegł dresz mały,
Uczułem: słuszność — tak —
Ma potok, dąb i ptak.

VII.

Są chwile, gdy przyroda w dawnej trwodze tonie,
Tłum duchów, których ludzie nie widzą, na skronie
Jej siada w krąg, jak zawój smutku czarny.

Ziemia grzmi głucho, jak grób, kiedy kroczysz po niej,
Słodkie kwiecie wiosenne żadnej nie ma woni,
Jak stary zwiędły już wieniec cmentarny.

* * *

Kraj miły, znany, nagle dysze przerażeniem,
Ktoś obok ciebie kroczy mrocznym lasu cieniem,
Twe serce pyta: co to stać się może?

Pień brzozy chwieje się, pień buku trzeszczy, zgrzyta,
Przyroda cała leży, jak biedna kobieta,
Której żywota zagasły już zorze.

* * *

Może przeczuwa klęski i drży przed ruiną?
Przecież w drzewach jak dawniej żywe soki płyną,
Ptak pieśni ma, więc cóż mu gardło więzi?

Nas wśród hucznej radości, nagły strach oniemi,
O pokrewieństwo, które nas wiążesz do ziemi!
O drżenia lasów! o cienie gałęzi!

VIII.

Dzień młody za mgły zasłoną
Na lesiste patrzy stoki,
W perłach mchy dziw, że nie toną,
W puszczy śpiewa ptak głębokiej,
Me serce w dzikiem biciu twierdzi, że pierwsze w życiu
Stawiało tutaj kroki.

Za skrzydłem ptaka chciało by w ślad,
W przestwór nad szczyty górskiemi,
Lecz dzwonki gdzieś pasących się stad
Ciągną je, wabią ku ziemi;
Ptak śpiewa, szumi las — o serce, zróbże raz
Już wybór między niemi!

IX.

Burza dogrzmiała; jak nim wzejdzie słońce,
Srebrne mgły płyną po perlistej łące,
Jak białe słupy w złoty haft bogaty,
Że pytasz, czy to nie aniołów szaty?

Kwiat nie drgnął, kiedy nad nim przepływały,
Ginie pod niemi zwolna łąk pas cały,
I czujesz wonie — lecz kwiat zniknął oku,
I ptaka słyszysz — ale gdzieś w obłoku.

W koło mgieł morze. — Co tam za niem dalej?
Gaik kaliny z pękami korali,
Toń stawu, co się pod lilie schowała,
Młyn w olszach, ścieżka śród kasztanów biała?

W koło mgieł morze, a twe serce słucha,
Czy w nich nie zagrzmi głos Bożego Ducha?
O cicho, cicho! Pary, mgły, widziadła,
Czem są to wasze białe prześcieradła?

Jak w nocy sen przez ludzką duszę kroczy,
Wasz tłum — wir duchów — na łące się tłoczy,
Czyście snadź ziemi sny? — Kiedyś prorokom
Lśniłyście w puszczach, a oni z głęboką
Wiarą widzieli w was nowego świata
Zarysy, czuli, jak rzesza skrzydlata
Cherubów leci śród nocnego cienia...

O szczęście ludzkie! o mgły! o złudzenia!

MAGDALENA

POWIEŚĆ

Pani CARO.

Przełożona z francuzkiego na język polski

przez

P. LUDWIKĘ ROUHER.

(Dalszy ciąg.)

VI.

Zaledwie mogę zebrać siły do opisania dalszych wypadków. Kiedy pomyślę czem mogło być moje życie, gdyby nie ta nieszczęsna okoliczność, straszliwa rozpacz i oburzenie zagłuszają prawie wyrzuty mojego sumienia. Tak wtenczas jeszcze, serce miałam czyste pomimo chwilowych objawów słabości.

Prawda, że nie miałam sił, aby walczyć lecz postanowienie wyjazdu było najszczersze. Kiedy obudziłam się po kilku godzinach spokojnego snu, którego odtąd nigdy już nie zaznałam, promienie porannego słońca wślizgały się przez firanki do pokoju. Słyszałam lekki szmer, nieśmiałe chodzenie, które oznajmia zwykle rozbudzenie się domu wówczas kiedy państwo śpią jeszcze, ale starałam się przedłużyć ten dobroczynny stan na wpół uśpienia i zapomnieć o rzeczywistości. Wschód słońca był dla mnie przykrym, obawiałam się go jak nieprzyjaciela, albowiem od dawnego już czasu każdy dzień przynosił mi nowe i bolesne zmartwienie.

Nagle turkot powozu toczącego się na piasku i oddalającego się prędko wyrwał mnie z tego pół snu. Wstałam z łóżka i pobiegłam do okna dosyć wcześnie, oby zobaczyć powóz niknący na zakręcie alei. Mój wuj sam powoził, a Piotr służący siedział obok niego.

Było to ulotne widzenie i zostałam jakiś czas nieruchomą, nadaremnie szukając przyczyny tego porannego odjazdu, nakoniec zadzwoniłam.

— Czy wyszedł mój wuj? — zapytałam panny służącej.

— Tak, panno Magdaleno, pan wyszedł, oto list, który zostawił dla pani, a Piotr przyjdzie wkrótce odebrać rozkazy.

Dałam jej znak, aby odeszła i siadając na brzegu łóżka otworzyłam list. Kilka biletów bankowych wypadło z niego, alę zobaczyłam je dopiero później. Pierwsze zaraz słowa listu uderzyły mnie jak piorun, pozbawiając przytomności umysłu. Czytałam zdanie po zdaniu, nie mogąc zrozumiéć wzajemnego ich związku i znaczenia. Jedyna rzecz zdawała mi się jasną, to jest że byłam niepowrotnie zgubioną.

Oto list, który gniew i oburzenie podyktowały mojemu wujowi, miał datę dnia poprzedniego.

„Wiem wszystko, zrozumiałem wszystko nakoniec.

„Przed chwilą widziałem cię w objęciach twego kochanka a jeżeli nie zabiłem was oboje na miejscu, to jedynie przez wzgląd na Ludwikę, która umarłaby dowiadując się prawdy. Dla niej tylko chcę ochraniać twego wspólnika, ale ciebie którą kochałem jak córkę, skoro zdradziłaś twoją siostrę, nie chcę cię widziéć więcej. Byłże to kaprys lub też wyrzuty sumienia, które zdecydowały cię przedsiębrać tę długą podróż? Czy znudziłaś się już twoim kochankiem, lub też zawstydziłaś się nakoniec oszukiwać nikczemnie tych, którzy cię kochali i ufali ci całem sercem? Widziałem wczoraj własnemi oczyma to czemu nigdy nie byłbym uwierzył, nawet gdyby cały świat przysiągł mi na to.

„Opuścisz ten dom dziś rano i uwiadomisz mego notaryusza o miejscu twego schronienia. On będzie miał staranie, abyś mogła żyć bez kłopotów materyalnych i uczciwie, jeżeli to jest jeszcze możliwem. Jeden tylko notaryusz może wiedzieć gdzie jesteś i co się z tobą dzieje, a niechaj Ludwika i jej mąż nie dowiedzą się o tem nigdy. Wymagam tego warunku Magdaleno, w imię wszystkiego co powinno być świętem dla ciebie, w imię twej matki i twej siostry niewinnej. Udaję się do twego honoru, który może istnieje jeszcze pomimo twego upadku.

Louis de Livoy."

I dodał w przypisku: nie staraj się usprawiedliwić, albowiem uprzedzam cię, że wszystkie twoje listy, spalę nie czytając.

Nie wiem jak długo pozostałam osłupiałą, nie mogąc myśléć ani płakać. Powrót panny służącéj wyrwał mnie z téj strasznéj bezwładności. Przyszła mnie uwiadomić, że Piotr czekał na moje rozkazy.

— Niech przyjdzie kiedy zadzwonię — rzekłam na wpół obłąkana. — Ubrałam się spiesznie i biorąc pióro napisałam do mego wuja rzeczy bez związku, które przyszły na myśl w tej strasznej godzinie.

„Tak jest, cierpiałam, walczyłam, kochałam i zdradziłam się” — pisałam.

„Chciałam, aby Ludwika była szczęśliwą, dla niej poświęciłam własne szczęście, miłość i całe moje życie, a w końcu straciłam wszystko w jednej chwili słabości. Robert kochał mnie i odepchnęłam go, oddając Ludwice. Codzień miałam ich szczęście przed oczyma, żyłam obok nich mając śmierć w duszy a uśmiech na ustach. Jeżeli chciałam uciekać z tobą, to nie z powodu wyrzutów sumienia, nie dlatego, że czułam się winną, ale że chciałam uniknąć niebezpieczeństwa. W jaki sposób, w chwili odjazdu mogłam zdradzić fatalną tajemnicę, tego nie mogę wytłomaczyć. Byłeś świadkiem pierwszej mojej słabości, osądź sam czy kara nie przechodzi winy. Ludwika nic nie wie i nic nie powinna wiedzieć, bo nigdy nie chcę ani jednem słowem zamącić spokoju twego i jej życia.

„Żegnam cię wuju!

„Przebacz mi, że nie przyjmuję twoich darów, byłyby za ciężkie dla mojego serca, skoro twoje mnie odpycha. Błogosławię cię pomimo twej surowości i nie zapomnę nigdy, że przyjąłeś mnie i kochałeś jak córkę. Serce moje rozrywa się na myśl że w podeszłym twym wieku nie będę mogła być ci podporą.

Magdalena.”

Zebrałam papiery bankowe rozsypane u moich nóg i załączyłam je w tym liście. Potem pomiędzy kuframi przygotowanemi do mojej podróży, wybrałam małą skrzynkę, gdzie zapakowałam bieliznę i kilka skromnych sukien. Ze wszystkich moich klejnotów zabrałam tylko zegarek. Był to dar mojej matki, należał zatem do mnie. Miałam w sakiewce małą sumkę oszczędzoną z wydatków na ubranie i przeznaczoną na jałmużny. Wzięłam ją, aby zapłacić pierwsze koszta podróży, bo chciałam opuścić Paryż i uciekać jak najdalej. Spaliłam kilka listów, kilka nieznaczących papierów, na których niegdyś w weselnych chwilach, kreśliłam moje marzenia o szczęściu. Powoli, obeszłam w około mój mały pokoik w którym tak długo żyłam szczęśliwa, zatrzymując się przed każdym przedmiotem, patrząc na każdy sprzęt z bolesnem rozczuleniem, potem zawołałam Piotra, aby zabrał skrzynkę, którą mu wskazałam. Nakoniec przebiegłam jeden po drugim wszystkie pokoje pałacu, żegnając się z nimi na wieki. W pokoju Ludwiki zatrzymałam się przed małym portretem przedstawiającym Roberta w myśliwskiem ubraniu. Miałam wielką pokusę zdjąć portret i uciec z tym moim skarbem, ale nie... nic co go przypominało, nic nie mogło do mnie należéć.

Wyszłam powoli patrząc ciągle na portret. Przyszedłszy do drzwi, nie mogłam się zdecydować przejść za próg. Zdawało mi się, że oczy Roberta zatrzymywały mnie i że nieme jego wargi otworzyły się, aby wymówić moje imię.

W salonie usiadłam raz jeszcze na fotelu na którym znajdowałam się dnia poprzedniego, kiedy on klęczał u moich nóg. Nakoniec trzeba było odjechać.

Nikt nie czekał na mnie, kiedy przybyłam do Paryża. Piotr przyprowadził mi powóz i zabierał się usiąść na koźle.

— Idź sam — rzekłam do niego — ja nie wracam do domu.

Popatrzył na mnie zdumiony:

— Pani nie potrzebuję mnie? Gdzie pani każe zawieść się?

Wahałam się chwilę.

— Do kościoła świętego Rocha — rzekłam nakoniec.

Powtórzył moje słowa woźnicy i podczas kiedy koń ruszał, widziałam jak stał nieruchomy, jakby skamieniały patrząc na mnie osłupionem okiem.

Na pierwszym zakręcie ulicy zatrzymałam stangreta, rozkazując mu się zawieźć na kolej orleańską. Tam, musiałam czekać kilka godzin, albowiem pociąg do Bretanii odjeżdżał dopiero wieczorem. Poruszył się nakoniec i przeniósł mnie daleko od Paryża. W strasznym smutku i opuszczeniu w jakiem się znalazłam, przyszło mi na myśl schronienie się tymczasowo w małym domku, który ofiarowała mi Ludwika jako podarunek weselny. Wprawdzie nie uważałam go jako należący do mnie, bo umyślnie zostawiłam dokumenta własności z klejnotami, które otrzymałam niegdyś od mego wuja, ale chciałam, aby jak największa przestrzeń oddzieliła mnie od osób, które porzuciłam.

Sądziłam, że nikomu nie przyjdzie na myśl szukać mnie tam, nieprzypuszczając zresztą, aby ktoś mną się jeszcze interesował.

Stosunki mego wuja ze starą kobietą, która pilnowała małego domku, były tak rzadkie, że przez długi czas, moja rodzina mogła nie wiedzieć nic o mojej obecności w tej okolicy. W przeciągu zaś tego czasu, miałam zamiar postanowić coś coby mi dało środki utrzymania.

Pomimo strasznej klęski, która zdruzgotała moje życie, czułam się spokojniejszą niż byłam dawniej.

Niesprawiedliwość losu oburzyła dumne moje serce, zbyt surowa kara wróciła mi energią. Miałam walczyć przeciw trudnościom materyalnym, walczyć z biedą i osieroceniem, co zdawało mi się łatwem po tej wyczerpującej walce z tajemną namiętnością, która zwiększała się codzień. Pomimo mego nieszczęścia czułam jakby pewne poczucie swobody i spałam dosyć spokojnie, kiedy pociąg zatrzymał się w Nantes.

Kazałam się zaprowadzić do bióra dyliżansu do Vannes, który odjeżdżał tego samego wieczoru. Przez cały dzień zostałam w biórze dyliżansu siedząc na kufrach nieco przerażona, będąc po raz pierwszy bez żadnej opieki, sama pomiędzy urzędnikami i tragarzami, którzy ciekawie patrzyli na mnie.

Kiedy dyliżans był gotowy, usiadłam natychmiast do jego przedniej części, gdzie na szczęście znalazłam się samą. Obecność jakiejkolwiek istoty nieznanej i obojętnej byłaby dla mnie nieznośną.

Przybywszy do Vannes, wynajęłam powóz i udałam się do „La Roche Ywon”. Deszcz drobny i przejmujący rozciągał się jak gęsta mgła na polach, z nieruchomych liści spływały strumienie, krzewy i rośliny zginały się pod ciężarem rosy. Bagniska świeciły z dala posępnym blaskiem na brunatnym piasku, niebo było ponure i zasnute chmurami. Mój woźnica, chłopiec ośmnastoletni lub dwudziestu lat, z chudą twarzą i długiemi włosami na wpół ukryty pod szerokiemi brzegami pilśniowego kapelusza, śpiewał pół głosem melancholijną piosnkę. Dzień był tak krótkim, że przyjechaliśmy już w nocy do celu.

Bardzo trudno było skłonić starą Maryą, aby otworzyła nam drzwi a trudniej jeszcze wytłomaczyć jej kto przyjechał. Była ona nieco głucha i może byłabym zmuszona długo jeszcze parlamentować na progu, gdyby chłopiec, który wyjmował pakunki z powozu, nie przyniósł z kuchni zapalonej pochodni. Stara popatrzyła chwilę na mnie zdziwiona i nakoniec poznała mnie. Była to wdowa po dawnym dzierżawcy mego wuja, który stosownie do mego życzenia powierzył jej staranie o małym domku. Biedna kobieta nie wiedziała w jaki sposób okazać mi radość z mojego przyjazdu. Opowiedziałam jej, że byłam chorą i przyjechałam do Bretanii dla wzmocnienia zdrowia, dodając, że życzyłam sobie, aby nikt nie wiedział o moim przyjeździe. Zapytała mnie czy Ludwika i mój wój nie przyjadą wkrótce, ale dałam jej do zrozumienia, że nie mogli opuścić Paryża w tej chwili, zresztą miałam zostać w „La Roche Yvon” tylko przez czas konieczny dla odzyskania sił. Podczas kiedy Marya pospieszyła na pierwsze piętro, aby przygotować mi pokój i kiedy słuchałam jak ciężkie jej kroki wstrząsały starą podłogą, usiadłam w kuchni obok wielkiego komina i ogrzewałam przed jasnym płomieniem zziębnięte członki. Po pewnym czasie, Marya wróciła, mówiąc, że pokój już gotowy. Była to izba bardzo wielka, oświetlona dwoma oknami wychodzącemi na mały ogródek i tak gęsto oplecionemi gałęziami winnych latorośli, że za najlżejszym powiewem wiatru, można było słyszeć szmer liści i małych gałęzi, uderzających w szyby jak gdyby chciały wejść do pokoju.

Podłoga składała się z szerokich desek brunatnego kasztanu zużytych już przez wpływ czasu. Belki sufitu były z tegoż samego drzewa i tej samej barwy. W kącie pokoju, znajdowało się stare dębowe łóżko z baldachimem, przybranym w firanki z ciemnej wełnianej materyi, z błękitnemi ozdobami. W innym kącie, wielki kufer z zamkiem na wpół złamanym, stół i kilka ciężkich krzeseł starożytnej formy. Stare zwierciadło oprawne w bogato rzeźbione ramy, których pozłota zatarła się, zdobiło wysoki komin. Całość tego pokoju podobała mi się, nic tutaj nie mogło rozerwać moich smutnych myśli. Pożegnałam Maryą mówiąc jej dobranoc ale nie mogłam usnąć. Wilgotne zimno przeniknęło mnie w tym wielkim pokoju od dawnego czasu niezamieszkałym.

Olbrzymie rozmiary tej komnaty powiększone jeszcze ciemnością i samotnością, obudziły we mnie prawdziwy strach. Wiatr szumiał i huczał w szerokim kominie poruszając nawet ciężkie firanki mego łóżka, drżałam słysząc świst ten powtórzony w dolinie, zdawało mi się, że ktoś obok mnie płacze.

Dzień pokazał się nakoniec smutny i deszczowy jak wczoraj. Pobiegłam do okna, pomiędzy gałęziami wina spostrzegłam mały ogród i klomby kwiatów otoczone bukszpanem. Blade róże na pół opadnięte, smutne georginie, kilka krzewów rozszerzających gałęzie aż na wązkie aleje ogródka, oto co zobaczyłam za pierwszym rzutem oka. Na prawo, obszerna dolina przez którą jechaliśmy dnia poprzedniego, na lewo na wzgórzu gęsty las kasztanów, zdawał się być zawieszony nad stru-

mieniem. W oddaleniu horyzont zasnuty mgłą nie pozwalał rzucić okiem na dalszą okolicę.

Wróciłam do łóżka i zostałam w niem rozmyślając smutnie aż do godziny kiedy Marya przyszła do mego pokoju. Deszcz padał nieustannie, sprobowałam wyjść ale wkrótce, wróciłam do domu zniechęcona błotem i mgłą.

Miałam z sobą kilka książek, chciałam czytać ale nie mogłam zwrócić uwagi i książka wyśliznęła się z rąk moich.

Niepewność przyszłości przerażała mnie, nie miałam żadnych środków do utrzymania a koniecznie potrzeba było utworzyć takowe, albowiem wolałabym była umrzeć aniżeli prosić mego wuja o pomoc.

Silne postanowienie okrycia zawsze tajemnicą całej mojej przeszłości, nie pozwoliło mi szukać miejsca do utrzymania, którego osobista uczciwość i rekomendacye są równie potrzebne jak nauka. Cóż mi zatem zostawało? Nic jak tylko ręczne roboty. Nie brakło mi odwagi, ale kiedy wieczorem, znalazłam się sama w moim wielkim pokoju źle oświetlonym, rzuciwszy okiem wokoło, czułam się tak opuszczoną, tak straconą dla wszystkich, których kochałam, i pomyślawszy, że ta samotność już nigdy mnie nie opuści, doznałam bolesnego ściśnienia serca.

Na zewnątrz wszystko było pogrążone w ciemnościach. Wiatr morski hucząc w pustej dolinie uderzał w mury domu z przeraźliwym świstem. Deszcz padający nieustannie od rana spływał strumieniem. Przytuliłam się w kąciku szerokiego komina i goniłam wznoszący się w górę dym.

Marya spała już bezwątpienia oddawna, co do mnie marząc zapomniałam o godzinie. Naraz zdawało mi się, że słyszę jakiś słaby szelest. Nadstawiłam ucha, szelest powtórzył się, było to jakby stąpanie lekkich kroków pod mojemi oknami. Kto mógł znajdować się tam podczas tej okropnej nocy.

Jakiś wieśniak zapewne spóźniony złą drogą i szukający schronienia przeciw burzy. Pobiegłam do okna i starałam się przeniknąć wzrokiem straszną ciemność nocy. W tej chwili zapukano do okienicy na dole. Wiedziałam, że z kuchni w której spała Marya nie można było nic usłyszéć, otworzyłam więc okno i wychyliłam się. Strumień silnego i lodowatego deszczu oślepił mnie, uderzając w twarz, a wiatr zagasił światło. Podczas kiedy starałam się zapalić je, gałęzie oplatające dom poruszyły się gwałtownie, usłyszałam szmer zgniecionych liści i kiedy zwróciłam się ku otwartemu oknu, człowiek jakiś przeskoczył je śmiało i stanął przede mną.

Krzyknęłam padając na kolana i wyciągnęłam ku niemu ramiona bo poznałam Roberta, pomimo włosów w nieładzie i deszczu, który oblewał jego twarz. Zamknął okno i porywając mnie w objęcia zbliżył się do ognia.

— Nie obawiaj się, to ja — rzekł zrzucając płaszcz obryzgany błotem i klękając u moich nóg. — Nakoniec jestem z tobą Magdaleno, odzyskałem cię i nic na świecie nie może nas już rozłączyć.

(*D. c. n.*)

DZIECIĘCE KOCHANIE.

OBRAZEK

przez

E. ZORYANA.

Wspomnienia wy moje! Jakże mi dziś dobrze, gdy na waszych skrzydłach ulatuję w dawno minione dnie, minione bezpowrotnie.

Tak mi wtedy było dobrze. Byłem szczęśliwy jak nigdy przedtem. Czy będę nim jeszcze kiedy? Pytam się często, lecz nie znajduję odpowiedzi. Zdaje mi się, że takie szczęście raz tylko przybywa w życiu, bo raz tylko można kochać tak gorąco, jak ja kochałem.

Kochałem...

A teraz? A teraz czyż nie kocham? O tak, i teraz czuję tę miłość dziwną, lecz to tylko miłość wspomnień. Rzeczywistość już przeminęła.

Dziwną nazwałem tę miłość; bo też taką ona była. Ile razy w dzień pogodny idę za miasto tą starą, cienistą aleją, zawsze wspomnienie przywodzi mi całą przeszłość moją na pamięć. Nie zapomniałem ani jednego szczegółu; zda mi się widzę wszystko, jakby dziś. A jednak lat temu już sporo. Zapomniałem kalendarza, bo żyję tą przeszłością tylko.

I niedziw; bo to przeszłość niezwykła, niespodziewana.

Kiedym pierwszy raz ujrzał światło dzienne, miałem już tę pewność, że takiego szczęścia nie doświadczę nigdy. Urodziłem się sierotą. Miłość macierzyńska miała na zawsze pozostać dla mnie obcą, bo matka w dzień moich urodzin umarła. Zanim się nauczyłem rozpoznawać tych co mnie otaczali, już za matką podążył ojciec.

Wychowaniem zajęli się ludzie obcy. Gorzej jeszczemoże niż obcy, bo krewni, którzy się wspólności krwi wyrzekli, lecz tylko uznawali wspólność mego majątku. Byłem niemowlęciem, nie miałem więc pojęcia o tem wszystkiem. To tylko pewna, że usta moje w dziecięctwie nigdy nie wymówiły słowa: matko!

Gdym dorósł, dowiedziałem się o pokrewieństwie i majątku, bo opiekunem był mi sąd, a karmicielami ludzie, których nic ze mną nie wiązało prócz wynagrodzenia miesięcznego, które im sąd wypłacał. Tak więc ojca i matkę miał mi zastępować sąd, który ocalił pozostawioną fortunę od grożącego rozszarpania przez krewnych.

W zaraniu życia smutna to historya, ziębiąca uczucie, wpajająca niewiarę w węzły rodzinne, osierocająca bardzo, a bardzo.

Zapytywany czy nie mam jakich krewnych, przywykłem mawiać, że nie. I tak się do tego przyzwyczaiłem, żem wreszcie sam w to uwierzył.

Byłem więc w całem tego słowa znaczeniu sierotą!

Majątek mój nie był tak wielki, ażeby mi się ludzie z miłością czy przyjaźnią narzucali, lecz wystarczał dostatecznie na wszystkie potrzeby. Widzieli więc wszyscy, że od nikogo niczego nie potrzebuję, że mogę żyć o własnych siłach spokojnie, wygodnie nawet. Nikt z moich kolegów i znajomych nie obawiał się, że mu wydrę jaki zarobek, o który już na ławach szkolnych się starali, bo mnie znali, że nie jestem chciwy, a potrzeby zarabiania nie miałem. To było głównie przyczyną, że nie miałem nieprzyjaciół. Lecz, że sercem jakoś nie lgnąłem do nikogo, więc też i przyjaciela nigdy nie znalazłem.

Czas wlókł mi się jednostajnie, bez zmian ważnych i niespodziewanych wypadków. Rosłem, chodziłem do szkoły, uczyłem się dość dobrze i na tem koniec. Z czasów szkolnych nie odniosłem żadnych wspomnień, prócz chyba zwykłych studenckich, dotyczących samejże szkoły. Plątał się w nich ten lub ów nauczyciel, czasem któryś z kolegów, lecz wszystko było zwykłe, blade jakieś i letnie.

Skończyłem wreszcie szkoły.

Byłem jeszcze bardzo młody, bo miałem dopiero rok dwudziesty drugi. Wiek to fantazyi, marzeń i zachwytów. Więc też i ja nie mogłem pozostać zupełnie obojętnym. I ja uległem ogólnemu prawu młodości — marzyłem.

Wszedłem w grono ludzi młodych, jak ja, jak ja marzących, bujających na skrzydłach fantazyi. Przylgnąłem do nich bardziej, niżeli dotąd do ludzi w ogóle. Osobliwie jeden z nich przypadł mi do serca i zamarzyłem po raz pierwszy w życiu o — przyjaźni.

Zdawało mi się, że mam przyjaciela i cieplej mi było i lepiej i weselej na świecie. Byliśmy wszędzie razem, bratališmy się coraz bardziej i zdawało mi się, że nie ma na świecie człowieka, któryby mnie bardziej kochał aniżeli mój przyjaciel.

A jednak było inaczej. Pierwsza ważniejsza przygoda, która mnie spotkała, przekonała, że to wszystko było złudzenie, że przyjaciela ani miałem, ani mam.

Grono ludzi, z którymi żyłem, rozsypało się. Wyjechałem na czas jakiś zagranicę.

Wyjeżdżałem smutny, bo zawiedziony w nadziejach, bo pierwsze me uczucie indywidualne natrafiło na fałsz. Przyznaję, że fakt ten bolał mnie bardzo. Cóż dziwnego, że byłem smutny.

Było lato, pojechałem w góry. Alpy ze swą majestatyczną pięknością, urokiem i spokojem, najlepiej przypadały do mego usposobienia. Przesiadywałem po tygodniu, a nieraz i dłużej w cichych, ukrytych wioskach. Spokój w tych zamkniętych dolinach harmonizował z mem usposobieniem. W takiem zaciszu czułem się wprawdzie samotnym, lecz sieroctwo moje nie bolało mnie tak bardzo, bo piękno przyrody wszelki ból koiło. Po takim odpoczynku wyruszałem w dalszą podróż. Zwiedzałem cudne widoki, które bogactwem piękna i rozmaitością, podnosiły fantazyę, wzbudzały dawne marzycielstwo.

Czułem, że mi było dobrze.

Wycieczki trwały dalej.

Dla zwiedzania osobliwości kraju zbierały się zazwyczaj towarzystwa całe. Ja nie mając nikogo znajomego, przyłączyłem się do pierwszego lepszego. Było ono mniej liczne niż inne. Trzech mężczyzn i pięć kobiet, nie licząc dwu przewodników, składały całą karawanę. Dwie z tych pań i jeden mężczyzna byli Anglicy, resztę składało towarzystwo niemieckie. Tak mi się przynajmniej zrazu zdawało. Uważałem tylko, że jedna z pań nie należała do rodziny, była więc obcą. Widocznem to było w jej zachowaniu się względem całego towarzystwa. Przewyższała też wszystkich grzecznością i elegancyą. Zakrawała na osobę z bardzo dobrej rodziny. Wobec gadatliwych Niemek i sztywnych Angielek robiła na mnie wrażenie wielce dystyngowanej pani.

Jakąż była moja radość, gdy się dowiedziałem, że to Polka. Spotkać się z Polką na obczyźnie, nie tak znowu trudno, lecz mnie to cieszyło nie-

zmiernie. Zbliżyłem się do niej natychmiast i jako swoi wśród obcych powitaliśmy się serdeczniej. Była to obywatelka zwiedzająca dla rozrywki Salcburg, Austryę i Styryę. Nazywała się Aniela Skowrońska. Była ze stron nieznanych mi, a nawet nazwiska tego nigdzie nie słyszałem. Nie wypytywałem się też o żadne szczegóły.

Puściliśmy się w podróż, która odtąd była mi coraz przyjemniejszą. Czułem to odrazu. Nic też dziwnego, że tak było. W towarzystwie takiem jak pani Skowrońskiej, możnaby z przyjemnością przejechać nawet pustynię. Nie powiedziałem jej tego wszakże. Bałem się, ażeby to nie zakrawało na kompliment.

Wykształcenie, humor, dowcip i wielka łatwość sądu pozwalała pani Skowrońskiej mówić o wszystkiem, co tylko na ziemi istnieje. Mówiła spokojnie, bezstronnie, a przytem tak zajmująco, że się jej nigdy nie można było dość nasłuchać.

Ja też zawsze byłem przy niej, a choć rozmowa toczyła się przeważnie po francuzku, nieraz moja towarzyszka rzuciła kilka zdań po polsku... Zdarzało się to coraz częściej, bo też gdyśmy mówili o kraju, zawsze posługiwaliśmy się językiem rodzinnym. Gdyśmy tylko we dwoje mówili o jakiej interesującej kwestyi, Aniela ożywiała się i wówczas także mówiła po polsku.

Nie wiem czy to otoczenie obce, czy co innego wpływało na mnie, dość, że każde słowo pani Anieli, wydawało mi się muzyką swojską, przepiękną. Rozkoszowałem się, gdy do mnie mówiła i w głosie jej coraz to większe odkrywałem bogactwo tonów. Było to pewno na mnie widoczne, bo się ożywiłem znacznie i dawny chłód i smutek zaczęły ustępować.

Nawet pani Aniela to uważała.

— Wycieczka ta wpływa na pana bardzo korzystnie — mówiła mi raz—z razu byłeś jakiś posępny, zamyślony, czy smutny, teraz coraz pogodniejszym się stajesz.

— Wpływ to przecudnej przyrody — dodała.

— I pani — odpowiedziałem nieśmiało.

— Cóż to, bawisz się w komplimenta?—zaśmiała się pani Aniela.

— Szczerze to mówię.

Rozmowa ogólna zwróciła się ku innemu przedmiotowi.

Taki był początek znajomości.

Zwiedziliśmy spory kawał ziemi razem, a ile razy była mowa o dalszych planach, projektach, zawsze układaliśmy je wspólnie. Zawsze mówiłem: my. „Dokąd pojedziemy, może się zatrzymamy”, i t. p. Nie zastanawiałem się nad tem bynajmniej i zdawało mi się, że już inaczej być nie może. Tak przywykłem do towarzystwa pani Anieli, tak mi było dobrze, swobodnie, że ani pomyślałem, że to wszystko się kiedyś może, musi skończyć.

Stało się wszakże.

Wędrówka skończona, trzeba było wracać do kraju. Ja jeszcze wracać nie chciałem... nie mogłem.

Przybyliśmy do Wiednia.

Na drugi dzień poszedłem pożegnać.

— Dziękuję za miłe towarzystwo — powiedziała mi wtedy.

— Tak to krótko trwało — wymknęło mi się z ust.

Ona zaśmiała się, śmiechem takim szczerym, dźwięcznym, serdecznym, że go nigdy nie zapomnę.

— Lepiej niżbyś się pan miał znudzić.

— Toby było niemożliwem — odpowiedziałem, nie mogąc się na nic innego zdobyć.

Wogóle uważałem, że ja, który zazwyczaj mówiłem płynnie, bez namysłu i z łatwością, teraz wyszukiwałem, dobierałem słów i myśli, a ile razy co powiedziałem, nie byłem zadowolony. Zawsze mi się słowa moje wydawały niezręcznemi.

Tak działo się i teraz.

Ona wybawiła mnie z kłopotu.

Mówiła o rzeczach najrozmaitszych, a wszystko tak lekko, że na chwilę zapomniałem o tem, żem ją przyszedł żegnać. Wreszcie trzeba było odejść.

Nie mogłem się zdobyć na inne powiedzenie: jak tylko:

— Żegnam panią.

Zrobiło mi się smutno, bardzo smutno. Doznawałem wtedy jakiegoś dziwnego uczucia, którego określić nawet nie potrafię. Nie widziałem prawie nic przed sobą. Rozrzewnienie opanowało mną dziecięce; czułem, że mi się zbiera na łzy.

Musiałem też smutno wyglądać.

Na moje: żegnam panią, odpowiedziała wesoło:

— A to dlaczego?

— Pani odjeżdza.

— Cóż to znaczy. Nie powinno się nigdy nic żegnać, prócz nieszczęścia. A zdaje mi się, że nieszczęściem pan nie nazwiesz mego spotkania — dodała weselej jeszcze.

— Ależ pani — zawołałem.

— A więc widzisz — odpowiedziała. — Nie trzeba zatem żegnać się, lepiej sobie powiedzieć do widzenia.

Podała mi rękę, którą przycisnąłem do ust, pozwoliła mi ją ucałować i mówiła spokojnie jak przedtem:

— Jeślibyś pan był kiedy w naszych stronach to proszę nas odwiedzić. Jesienią zjedziemy na kilka miesięcy do stolicy. Tam miłoby nam było również powitać pana jako dobrego znajomego.

— Skorzystam z pewnością z pozwolenia, jak skoro tylko powrócę.

— Czy to banicya? — zapytała jeszcze.

— Po części dobrowolna, chcę czas jakiś być na obczyznie sam.

Rozstaliśmy się.

Ona pojechała do kraju, ja pozostałem wśród gwarnego miasta niemieckiego, gdzie mi było duszno i nieswojsko.

Upłynęło kilka miesięcy. Zabierałem się do powrotu. Przez całą drogę myślałem tylko o pani Anieli. Lecz nietylko o niej myślałem i widziałem ją nawet we snach, a widziałem zawsze jasną, jakby anioła jakiego opiekuńczego.

Odkąd wyjechała do kraju, było mi smutno, a chwila powrotu i zobaczenia jej, przedstawiała mi się zawsze jako chwila szczęścia. Nie wiedziałem sam co to było. Czułem, że mnie coś ku niej bardzo pociągało, że przy niej innym zupełnie byłem człowiekiem, że wreszcie odkąd ją poznałem nie pragnąłem już niczego.

Dawniej było inaczej.

Nieraz tęskniłem za jakąś istotą nieznaną, pragnąłem serca i uczucia, brak mi było czegoś, czego nazwać nawet nie umiałem. Dziś to ustało. Miałżeby to być jej wpływ? Pytałem nieraz sam siebie i istotnie jej tylko tę zmianę musiałem przypisać.

Dodać winienem, że byłem w myślach i uczuciach istotnie bardzo jeszcze młody, a tylko pozorny chłód i niby rozczarowanie odbijały się na zewnątrz.

Przy niej najbardzj się uwidoczniała ta moja młodzieńczość, dziecięctwo nawet nieraz. Ona też traktowała mnie poniekąd, jak syna. Każde jej słowo tchnęło życzliwością, za którą jej bardzo byłem wdzięczny.

Postępowanie jej to usprawiedliwiał nawet poniekąd wiek, choć ja o jej wieku nigdy nie myślałem. Miała lat około czterdziestu. Dowiedziałem się o tem, dopiero później... Ja o latach ani myślałem, ani bym się ich domyślał, bo pani Aniela była w całem tego słowa znaczeniu piękną.

(*D. n.*)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Pisma humorystyczne zeszyt I-szy Faustyna Świderskiego (Ex-Bociana).

W „Wolnych żartach” wydawanych przed laty blizko trzydziestu, pierwszem piśmie humorystycznem obrazkowem a redagowanem przez Bocianów polskich, pan Faustyn Świderski czynny brał bardzo udział i zawsze pod artykułami swemi podnaczał się drzeworytem wyobrażającym bociana trzymającego żabę w dziobie. (*) Gdy pismo to pomimo zyskanej popularności zamknięte zostało, p. Świderski jako miłą pamiątkę swej działalności, zatrzymał tytuł i odtąd przezwał się Ex-Bocianem, niby spadłym z etatu Wolnych Żartów pracownikiem.

Tytuł ten tak troskliwie zachowany, najlepiej charakteryzuje rodzaj humoru jaki barwi się we wszystkich pracach p. Świderskiego.

Nie jest to humor francuzki, w którym dowcip pierwsze ma miejsce, a cel na uboczu pozostaje: nie angielski ciężką powagą nacechowany, nie niemiecki również zwykle wymuszony jakby wykuty z kamienia, ale nasz szczery staropolski, Reja, Kochanowskiego, Paska, Krasickiego, Węgierskiego a z nowszych czasów Wilkońskiego, Wilczyńskiego i wreszcie Kostrzewskiego słusznie do humorystów policzonego.

Umieli oni i umieją śmiać się i rozśmieszać, ale dowcip ich jest lekki, swobodny, naturalny, dla wszystkich przystępny, prawdziwie z natchnienia a nie z nakazu płynący i zawsze mający dobro społeczności na celu, jego wady, narowy, błędy, wybryczki, fałszywe pojęcia, a co najważniejsza, niedrażniący nikogo zbytecznie i przez to zmuszający do spojrzenia w głąb siebie.

Wszystko to więc są niejako bociany polskie, gady i gadziny wydobywające z bagniska, i takim pozostał p. Świderski chociaż się tylko Ex-Bocianem tytułuje. Drwi on z wad ludzkich ale i sobie nieraz łatkę przypnie, wyśmiewa drugich ale i siebie nieoszczędza, a zawsze poczciwym dowcipem krasi wszystko mimowoli uśmiech wywołując.

Zeszyt pierwszy jaki wyszedł już z druku, obejmuje utworów wierszem jedenaście i gawęd starego rolnika ośmnaście. Niepodobna nam szczegółowo rozpatrywać się we wszystkich, ograniczymy

(*) Było ono redagowane przez zmarłego H. Lewestama i J. K. Gregorowicza.

się więc tylko na krótkiem sprawozdaniu z przedmowy i z pierwszej zaraz ramotki ofiarowanej czcigodnemu J. I. Kraszewskiemu, p. t. Jubileusz ramota heroi-komiczna.

W przedmowie, p. Świderski powiada, że za pracę swą czterdziesto dwuletnią z cichego swego ustronia, pragnie tylko serdecznego uznania współziomków, bo sława jedynie geniuszom należy a nie wiejskiemu prostakowi, co trzymając w jednym ręku pług a w drugiem pióro, wypisywał swoje marzenia tak jak umiał, bo i zresztą:

Sława wówczas dopiero z powagą przychodzi,
Kiedy Charon poetę przewozi na łodzi,
Kiedy homeopaty, albo alopaty,
Każą się grabarzowi zabrać do łopaty,
Gdy na *salto mortale* śmierć się chwyci kosy,
Twój portret wydrukują Tygodnik lub Kłosy,
Opiszą twój nekrolog z dokładnością ścisłą,
I dadzą jeść nad Styxem — głodnemu nad Wisłą.

Potem oświadcza, że radby z całego serca zostawić współziomkom w spadku po sobie, bodziec dla utrzymania w rodzinach ich dobrego humoru, jako najlepszego medykamentu do zwalczenia wszystkich trosk z materyalnych niedoborów wynikających.

W końcu zwraca się do swego wydawcy p. Juljana Fuksa z taką apostrofą:

Kiedy panie Juljanie z dobrej swej ochoty,
Chcesz drukować gawędy i moje ramoty,
Napisane z pod serca z wieśniaczą prostotą,
Oddaję ci je także z największą ochotą.

Jeśli moi współbracia w chaty i pałace,
By się w smutku weselić, przyjmą moją pracę...
Wtenczas panie Julianie, na dowód wdzięczności,
Wezmę cię razem z sobą do nieśmiertelności.

W ramocie poświęconej Jubilatowi, powiada p. Świderski, iż cieszy się nadzieją, iż:

Ofiarowanej nie odrzucisz pracy,
Choć ja nie Homer, ani nie Horacy,
Tylko znędzniałe stare Bocianisko,
Co na parafii włóczy się po błocie,
I marzy sobie kopę lat już blizko,
O starych dziejach i o starej cnocie,
Mało co widzi, mało co pojmuje,
Bo siedzi w miejscu a nie odlatuje.

Kłopocze się jednak jak tu godnie uczcić tak wielką zasługę półwiekowej olbrzymiej pracy:

Jak wypowiedzieć należne pochwały,
Które ma w sercach dzisiaj naród cały?

Lecz zaraz biorąc na odwagę mówi dalej:

Lecz kiedy wszyscy, ze wszystkich stron świata,
Niosą w ofierze szczery uścisk bratni,
Ażeby godnie uczcić Jubilata,
I stary szlachcic nie będzie ostatni,
Boć w siwej głowie, mości dobrodzieju,
Zostało przecie choć trochę oleju.

Żeby więc nabrać odpowiedniego natchnienia pragnie do Muz udać się o pomoc. Ale powiada:

Gdybym był młodym, bardzo oczywiście,
Wziąwszy bilecik gładki jak z atłasu,
Czułe słóweczka nakreśliwszy w liście,
Wysłałbym pocztą prośbę do Parnasu,
A Muzy wdzięczne za czułą zaczepkę,
Potrzebną w głowę wprawiłyby klepkę.

Lecz starość nie radość, nie mogąc tej klepki zdobyć listem, postanawia udać się na Parnas osobiście. Pędzi więc i zaraz za przebycie Styksu bez paszportu, dostaje w sądzie naganę a do prośby o natchnienie przylepia markę na odpowiedź i potem wykrzykuje:

Włosy mi wszystkie powstały na głowie,
A to nie Parnas, to czysty kryminał.
Jedna z Muz rzekła: słuchajcie panowie!
Co to za facet, co to za orginał,
Co chce na starość wierszydła gryzmolić?
Jak mu dopomódz, jak na to pozwolić?
Zadrżałem cały jak w zimnej kąpieli,
We wszystkich żyłach krew zawrzała razem,
Dobyłem śmiało starej karabeli,
Impertynentki chcąc wygrzmocić płazem.

Nic mi nie dajcie, pomocy, splendoru,
Ale mospanie! nie szarpcie honoru!
Byłoby przyszło wnet do awantury,
Bo chciałem bronić mojego klejnotu,
Ale mnie chwycił za rękę Merkury,
I pociągnięciem zmusił do odwrotu,
Szepcząc mi w ucho grzeczne jakieś słówko,
Radził by prośbę... podeprzeć łapówką.

— Co wasan pleciesz, bzdurzysz proszę ciebie!
Czyż to dziś Parnas tak przenicowany,
Że między wami, że nawet i w niebie
Chcąc wygrać sprawę, trzeba dać kubany?...
— Wyrosłeś widać tak jak grzyb na kępie,
I zapleśniałeś *modo polonico*,
Nie wiesz o modzie ani o postępie,
Rzecze Merkury, dziś trzeba drréć łyko,
Chociażby nawet z rodzonego brata...

Uwaga ta przekonywa Autora, zgadza się na łapówkę, ale czując pustki w kieszeni postanawia apelować do samego Jowisza.

Władzca niebios w otoczeniu bogiń i bogów, wysłuchawszy przedstawienia, każe sobie przynieść mapę Europy i wpatrzywszy się w nią powiada:

Waść z Będzińskiego pochodzisz powiatu,
Gdzie was Polaków ledwo tuzin siedzi,
A pruskich Niemców tak jak w morzu śledzi?
Waszego szczęścia chcąc być ciągłym świadkiem,
Dałem wam stawy, pola, łąki, knieje,
Dałem galmanu i węgla dostatkiem,
By was wzbogacić mości dobrodzieje,
A wy wzgardziwszy tak wielkiemi dary,
Wszystkoście Niemcom dali za talary.

Na to odrzekłem stając w swej obronie,
— Władzco Afryki, Azyi, Europy!
Ja ciągle siedzę na ojców zagonie,
I klepie biedę przeszło lat półkopy,
A broniąc siebie, ziemię i rodzinę,
Niemców szturmową odpycham drabinę.

— Próżne gryzmoły waszeci wyskoki,
Rzekł na to Jowisz i żadna zaleta,
Ciągniesz na ziemi za ogon dwie sroki,
Nietęgiś oracz i lichy poeta,
Próżne są twoje wszelkie przedstawienia,
Takim partaczom nie daję natchnienia.

Radzi więc Jowisz, aby z pszenicy i kwiatów panowie szlachta i panie szlachcianki uplotły wieniec.

A dając z serca, czem bogata chata,
Ucieszą takim darem Jubilata.
— Jest słuszna racya, prawda oczywista,
Odrzekłem na to: ale Panie Boże,
Pszenica nasza zrosła i śmiecista,
Z niej w żaden sposób wieńca być nie może.
Nie nasza wina, bo człek dobrze sieje,
Ale deszcz ciągły tak jak z cebra leje.
Z gradem, z burzami, ciągły mamy skweres,
Woda bruzdami płynie jak w kanałach,
Nie myśmy winni ale winna Ceres,
Co o niebieskich rozmyśla migdałach,
Winien jest Neptun, Eol i Minerwa,
Że w polu bieda, w rymie licha werwa...

— Impertynencie! Jowisz strasznie wrzasnął,
I wstawszy z tronu, tupnąwszy nogami,
O mało we mnie piorunem nie trzasnął,
Ale nim palnął już byłem za drzwiami,
Dokąd skoczyłem jednym prawie susem,
I tam się z zacnym spotkałem Bachusem.
Ten rzecze do mnie: gdzie tak pędzisz wasze?
Czyś się tak przeląkł tutajszych andronów,
Że chcesz pozwolić dmuchać sobie w kaszę,
I splamić zacny klejnot Ślepowronów,
Godność potomków mieć na swem sumieniu?
Co ci po Muzach co ci po natchnieniu?
Przecież masz bracie, dobry prosty rozum,
Którym się wszelki ziemski kłopot łata,
Weź w obie ręce *Witrum Gloriosum*
I palnij zdrowie pana Jubilata!
Jak się łza szczera złączy z winem na dnie,
Wyjdzie interes uczciwie i ładnie!

Ile tu jest niewymuszonego humoru prawdziwie staropolskiego łatwo osądzić z tego pobieżnego sprawozdania z pierwszej ramotki p. Świderskiego. Rzecz tu niby dotyczy Jubilata, ale satyra przeważa w której wszystkim a nawet i Autorowi dostają się potroszku słowa prawdy, mogące rozśmieszyć ale nigdy pogniewać.

W podobnym sposobie są napisane wszystkie inne mieszczące się w tym pierwszym poszycie: w niektórych z nich prozą przygotowanych, wspomnienie z przeszłości góruje nad wszystkiem, mniej w nich humoru a więcej obrazowania wypadków bardzo pouczających, w żadnym jednak nic się nie mieści przeciwnego przyzwoitości nie przez wszystkich humorystów dostatecznie przestrzeganej. Dlatego czytając owe ramoty p. Świderskiego, z uśmiechem zadowolenia nigdy nie łączy się gorycz, czasem tylko westchnienie, że na nieszczęście tak się dzieje jak Autor opowiada.

J. K. G.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Ministeryum oświecenia w Peterburgu, rozpatruje obecnie projekt nader ważny, obchodzący zarówno wszystkie oświecone sfery społeczne. Opierając się na statystyce takich studentów, którzy zniewoleni byli opuścić uniwersytet jedynie z powodu niemożności opłacenia wpisów, projekt ten obejmuje wniosek, aby każdy niezamożny student nie mogący obecnie uiścić opłaty, zostawał od niej uwolniony, z zastrzeżeniem: iż gdy po skończeniu kursów uniwersyteckich, znajdzie środ-

ki utrzymania, zapłacił odrazu całą należność za wpisy. Urzeczywistnienie projektu tego jest nader pożądanem i dla naszej młodzieży, pragnącej zdobyć wyższe naukowe wykształcenie. Zdaje się że musi on obejmować jakiś paragraf dozwalający rozłożyć należność za wpis na pewne określone raty, gdyż zapewne wielu znajdzie się studentów nie będących wstanie zapłacić jej jednorazowo, zaraz po ukończeniu uniwersytetów.

*** Zdaje się, że niezadługo już otworzy się dla kobiet nowa i nader odpowiednia gałęź pracy. W fabryce wyrobów blaszanych towarzystwa „Wulkan" na Pradze, ma być zaprowadzone malowanie ich, w podobny sposób jak na porcelanie. Dotąd wyroby takie sprowadzano z zagranicy, obecnie, jeźli projekt ów nie napotka jakich przeszkód, nie ulega wątpliwości, że nowy ten rodzaj przemysłu znajdzie u nas powodzenie.

*** Uniwersytet w Zurychu liczy obecnie 31 studentek, z których 20 uczęszcza na wydział Medyczny, dziesięć na wydział filozoficzny, jedna na wydział nauk przyrodzonych. W ciągu dziesięciu upłynionych lat, uniwersytet zurychski, udzielił trzydziestu kobietom dyplomy doktorskie — z tych 23 zostało doktorami medycyny, a 7 doktorami filozofii.

*** Dzienniki zagraniczne podają, że amerykańska prowincya Wyandots, jest dla kobiet istną ziemią obiecaną. U tamtejszych Indyan, kobiety zajmują wyższe daleko niż mężczyźni stanowisko społeczne, i cztery razy więcej kobiet niż mężczyzn zasiada tam w najwyższej radzie każdego plemienia. Uprawą roli zajmują się wyłącznie kobiety. Wszelka ruchomość i nieruchomość, narzędzia gospodarskie, namiot i trzoda są własnością nie męża lecz żony, która jest rzeczywiście głową rodziny. Mężczyźni zajmują się jedynie polowaniem, rybołówstwem i walką z nieprzyjaciołmi, wolno im przecież mieć po kilka żon — ciekawa rzecz jak też te panie zgadzają się z sobą.

*** Płodny w oryginalne pomysły „Figaro" zajął się obliczeniem ilu też przodków płci obojej liczy przedstawiciel trzydziestego pokolenia. Otóż wyrażając rodziców cyfrą 2, dziadków 4, pradziadków 8, prapradziadków 16 i tak dalej, wypada że w 30-em pokoleniu, liczy człowiek 1,073,741,824 przodków. Hrabia Chambord, będący w 28 pokoleniu wnukiem Hugona Kapeta, liczy przodków 268,435,458. Przypuśćmy, że na wiek składają się cztery pokolenia, jesteśmy więc 76 pokoleniem naszej ery — zatem każdy z nas liczy trzy miliardy przodków. W obec takich liczb i dat, nikt chyba nie może szczycić się wyjątkową starożytnością rodu.

*** Z powodu zajść jakie miały miejsce w Paryżu w skutek nadania królowi Alfonsowi tytułu pułkownika ułanów pruskich, dziennik „National" podaje jakim sposobem miał powstać zwyczaj dworski obdarzania monarchów i książąt tytułami pułkowników obcych armii. Fryderyk zwany Wielkim, wprowadził go pierwszy. Kasa jego wyczerpana ciągłemi wojnami, bywała zwykle pustą, tak że kilka lat z kolei nie miał pieniędzy na zapłacenie nadwornego krawca. Ten pragnąc koniecznie odebrać swą należność, nie narażając na wydatek swego monarchy, doradził mu by obdarzył obcych książąt, honorowemi tytułami pułkowników swej zwycięzkiej armii, będąc przekonanym, że obdarowani poczytają to sobie za wielki zaszczyt, a zarazem kwitował ze swej należności, byle go w zamian uprzedzano kilka dni naprzód o każdej podobnej nominacyi. Wiedząc zawczasu, że przybyły do Berlina obcy książę, zostanie szefem danego pułku, zmyślny krawiec postarał się o jego miarę i w dniu nominacyi zjawiał się natychmiast z gotowym mundurem, za który, naturalnie kazał sobie drogo bardzo zapłacić. I tak zadowolniony był król, gdyż niepotrzebował płacić krawca; krawiec gdyż należność odebrał z procentem i książę pułkownik zaszczycony upoważnieniem noszenia pruskiego munduru.

*** Przemysłowiec berliński, Werner Siemens, opracował projekt kolei elektrycznej dla Wiednia. Kolej ta ma być środkowem ogniskiem pomiędzy koleją konną a mającą się budować koleją miejską, w celu połączenia wszystkich dzielnic tej stolicy pomiędzy sobą i środkiem miasta. Według powyższego projektu, kolej ta służyć ma do przewożenia osób na małe odległości, zaś kolej miejska łączyć ma środek miasta z przedmieściami. Kolej elektryczna, prowadzana przez tunele rozchodziłaby się ze środka miasta na znaczne odległości. Na szerokich ulicach p. Siemens projektuje dwutorowe wiadukty o 2½ metra podstawy, a na węższych ulicach tunele po 5½ metra szerokości. Kolej ma być wązko-torową. Szybkość ruchu byłaby bardzo znaczna, a wozy, zaopatrzone w doborowe motory, odbierałyby siłę elektryczną z punktu centralnego, nieprzerwanym prądem. Koszta budowy 1 kilometra, obliczono na 475,000 złr. W porównaniu z kosztami kolei miejskiej w Berlinie, wynoszącemi na 1 kil. 1,750,000 złr. byłaby to suma bardzo zachęcająca, jeźli jest rzeczywistą, a nie ułożoną jedynie jak to zwykle bywa, dla przynęty akcyonaryuszów. Według telegramu z Wiednia, Laenderbank podjął się budowy tej kolei i jako jeneralny przedsiębierca zawarł umowę z p. Siemens. Cena ustanowiona przez Laenderbank i przyjęta przez projektodawcę, wynosi 10,000,000 guldenów.

*** Niedawno temu wynaleziono w Ameryce ogniotrwały papier, mogący nieocenione oddawać usługi. Przygotowuje go się w następujący sposób. Do zwykłej papierowej masy, dodaje się czwarta część mieszaniny złożonej z ciasta azbetu (górny len) roztworu soli kuchennej i ałunu. Masę tę przenosi się następnie do maszyny, a otrzymany z niej papier poddaje się kąpieli w gumilaku rozpuszczonym w alkoholu, lub w jakimś preparacie rozpuszczającym gumilak. Sól i ałun użyte do wyrobu papieru nadają mu moc i zobojętniają na działanie ognia, lak zaś ochrania od wilgoci. Tym sposobem papier taki, zarówno jak zwyczajny nadający się do druku i pisma, nie ulega działaniu ognia ani wody.

*** W fabryce Veltera w Moulhouse, w górnej Alzacyi, funkcyonuje od kilku miesięcy nowa piła dyamentowa, do krajania brył marmuru i granitu. Piła opatrzona jest 80 dyamentami. Oprócz ośm razy prędszej roboty, piła taka przedstawia jeszcze i tę korzyść, że z jednej bryły otrzymać dozwala daleko więcej płyt kamiennych niż piły zwyczajne.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i wielki arkusz z krojami, oraz dla prenumeratorów na pocztę — Katalog Księgarni Ludwika Polaka.

Дозволено Цензурою, Варшава 2 Ноября 1883 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

W DOBRYM TONIE.

Przekład z angielskiego

Przez K. P.

(Dalszy ciąg.)

— Tak pani sądzi? Czy członkowie stowarzyszenia są obowiązani bywać na każdem jego zebraniu? Nie ma dla mnie nic nieznośniejszego nad systematyczność.

Zasłoniła usta ukrywając poziewanie. Henrieta spostrzegła to i wyszła.

Ah! Bryanie kto wie czy nie miałeś słuszności, pomyślała wracając do domu. Obawiam się czy Letycya nie pozostanie na zawsze tem czem jest obecnie! A może też, dodała po chwili z miłym uśmiechem, może to ja nie umiem wpłynąć na nią, a obrażona miłość własna nie dozwala wydać bezstronnego sądu. Czy mi wolno sądzić że mistress Tippington jest złą, dlatego że ja nie umiałam jej się podobać? Czy pomimo to nie kocha szczerze męża, i czy ta gorąca i czysta miłość nie będzie najlepszą j mistrzynią?

Dzień wydał się Letycyi nieskończenie długim. Usiadła przy oknie zanim Frank mógł jeszcze wrócić, chcąc go zobaczyć już zdaleka. Niecierpliwość jej wzmagała się z każdą chwilą, a gdy ukazał się nakoniec, zbiegła ze schodów, zarzuciła mu ręce na szyję, i stali tak chwilę w milczeniu, pod wpływem niewysłowionej radości.

— Ah! Franku! Nie odjeżdżaj już odemnie nigdy!

— Moja ukochana!

— Jakże się ma ojciec?

— Lepiej. Przesyła ci najtkliwsze pozdrowienie. Matka moja radaby widzieć cię u siebie, ale nie potrafiłbym już żyć bez mej drogiej Letycyi, dodał przyciskając ją czule do serca.

— Ja? miałabym tam pojechać!

— Jakże ci przeszedł czas wciągu mej nieobecności, kochanie moje?

— Jak zwykle, odpowiedziała spuszczając oczy. Rano odwiedziła mnie pani Donolly, a później czekałam na ciebie.

Weszli do jadalnej salki, gdzie siedząc na przeciwko siebie zaczęli wesoło spożywać obiad, gdy ukazanie się posłańca od baroneta przestraszyło Letycyę. Lord Hope prosił aby Frank udał się natychmiast do pałacu.

Po co? Czy dowiedział się że mistress Tippington dopomogła jego córce do ucieczki? Czy po to wzywał Franka aby go dręczyć pytaniami i wymówkami? Ta myśl przejęła dreszczem Letycyę, lecz po dłuższem zastanowieniu uznała że nie ma rzeczywistego powodu do obawy. Ponieważ Frank nie wie o niczem, więc zaprzeczy najenergiczniej wszystkiemu, i to jego pomimowolne kłamstwo uchroni ją od dobrowolnego.

Uspokojona tem zupełnie, kazała prędko podać ostatnią potrawę a gdy Frank, wychodził zawołała z niewinną minką.

— Jeźli zobaczysz miss Diannę, zapytaj się kiedy będziemy mieć znów próbę śpiewu?

Letycya czuła że trudno jej będzie usiedzieć spokojnie w domu, pod wpływem tak żywego zaciekawienia, byłaby też chętnie towarzyszyła mężowi aż do pałacowego ogrodu. Kto wie czy nie zobaczyłaby jej tam Dosia, a w takim razie pewnoby do niej przybiegła, i udzieliła wiadomości o Diannie. Ale na nieszczęście Frank był tak zważający na wszystko, że nie pozwoliłby na to. Zawsze tak pamięta o tem aby na jeden krok nie przestąpić granicy oddzielającej od arystokracyi rodowej, tak się obawia okazać zbyt poufałym z wyższymi od siebie!

Zbyt poufałym! Nie mógłby tak mówić gdyby wiedział że miss Hope wybrała mnie za swą powiernicę, gdyby ją tu widział dzisiejszej nocy błagającą mnie o pomoc, okrywającą pocałunkami! Zdaje mi się że mam prawo żyć poufale z mistress Dick Harrington po tem wszystkiem co uczyniłam dla niej, że przyjaźń nasza skończy się wraz z naszem życiem! Założyłabym się że skoro tylko Dianna powróci tu ze swym Dickiem (Jakie to szczęście że Frankowi nie dano imienia Dick, jest ono stosowne dla wróbla, ale nie dla człowieka) otóż założyłabym się że skoro wrócą, zaproszą nas zaraz do siebie. Nie do pałacu, ma się rozumieć, ponieważ baronet nie życzyłby sobie tego, ale będą mieć własny dom w którym my będziemy zaliczeni do najmilszych gości.

Te wszystkie świetne nadzieje tak upajały Letycyę, że gdyby nie obecność Patrycego i Katarzyny, byłaby gotowa tańczyć po całym domu.

Jednak niepokoiła ją myśl że będzie musiała niezwłocznie wyznać wszystko mężowi. Nie dla tego jednak aby wątpiła że w końcu pochwali jej postępowanie, bynajmniej: wszakże wyzwoliła miss Diannę od najstraszniejszego losu, ale, prawdopodobnie, zacznie łajać zanim dowie się wszystkiego.

— Jakaż to szkoda, zawołała Letycya,że nie można zaczynać opowiadania od końca! Jakżeby to ułatwiło zadanie! Ba! znajdę i na to sposób. Wspomnę najprzód o szkaradnym zamiarze baroneta wydania córki za starego hulakę, włóczącego się po świecie na sztucznych nogach, i Frank będzie musiał przyznać że spełniłam mój obowiązek, przykładając się do zniweczenia tak potwornych planów.

— No, i cóż zapytała z żywością, zaledwie Erank drzwi otworzył.

— Nic takiego coby nas dotyczyło, odpowiedział wesoło. Tylko trochę dziwna pomyłka ze strony człowieka tak systematycznego jak lord Hope.

— A miss Dianna?

— Miss Dianna?

— Tak miss Dianna. Czy ją widziałeś?

— Nie. Wyjechała.

— Wyjechała? Oh! Franku, powiedz mi wszystko.

Frank spojrzał na nią z największem zadziwieniem.

— Powiedzieć ci wszystko? A cóż więcej mogę powiedzieć? Miss Hope dowiedziała się wczoraj wieczorem że ciotka jej zachorowała nagle, i pojechała do niej natychmiast nie pożegnawszy się nawet z ojcem, który był u kogoś na obiedzie. Druga miss Hope, najmłodsza z sióstr, kazała ci powiedzieć, że próba śpiewu odbędzie się dopiero po powrocie miss Dinny.

— Więc mówiłeś z Dosią?

— Któż to jest, ta Dosia?

— Najmłodsza miss Hope.

— Będąc na twojem miejscu, Letycyo, nie pozwoliłbym sobie nazywać jej tak poufale. Ze strony jej sióstr jest to zupełnie właściwe, ale z twojej...

— No, mniejsza o to... Więc to ona kazała mi to powiedzieć.

— Tak.

— I nic więcej?

— Nic.

— Więc to dosłowna jej odpowiedź.

— Tak, o ile pamiętam.

— I nie powiedziała nic więcej?

— Ani jednego słowa.

Frank zszedł do księgarni, a Letycya zaczęła zastanawiać się nad słowami Dosi. A więc Dianna wyjechała z domu pod pozorem że chce doglądać chorej ciotki. Starsza siostra, skłoniła młodszą, prawie dziecko jeszcze, do powtórzenia ojcu tej bajeczki, tego *kłamstwa*, bo niepodobna nazwać to inaczej.

Namawiać Dosię do kłamstwa!.. Nie podobało się to Letycyi. Jednak na kogóż tu głównie spada wina? Cóż ściągnęło tę burzę na baroneta jeżli nie jego własny despotyzm, brak serca i chciwość? Co zaś do kłamstwa użytego jako sposób uchronienia się od małżeństwa z tym starym i wstrętnym kaleką, to sam zbieg okoliczności usprawiedliwia je zupełnie.

Rozmyślania Letycyi przerwał głos Franka przywołującego ją do siebie. Zastała go pochylanego nad otwartą kassą, którą przetrząsał z gorączkowym pośpiechem. Gdy weszła podniósł głowę, a twarz jego zmieniona strasznie, i wzrok błędny, tak ją przeraziły że stanęła jakby skamieniała nagle.

— Letycyo! Czy straciłem zmysły? Czy to jakiś sen straszny? Czy przypominasz sobie ten papier który widziałaś u mnie wczoraj w kieszonce od kamizelki?

— Tak.

— Wszak schowałem go tu, do kassy?

— Mo... może... Nie... widziałam.

— Ale ja wiem z pewnością że go tu włożyłem... a teraz go tu nie ma!

Frank co raz gwałtowniej przerzucał wszystko w biórku i w kassie.

— Wielki Boże! co czynić, co się ze mną stanie!

Letycya zadrżała, posłyszawszy ten rozpaczliwy okrzyk.

— Czy to co tak bardzo ważnego dla ciebie? wybąkała.

— Czy ważne! Wszak ci już mówiłem. Więc zapomniałaś o wszystkiem! Zapomniałaś o bankkocie ofiarowanym przez baroneta na szpital! Oddanym, powierzonym, czy słyszysz? *powierzonym* mnie jako kasyerowi!

— Franku, drogi Franku, uspokój się, on nie zginął! Znajdziesz go... później!..

— Nie... Letycyo, wiem że go tu włożyłem... Jestem zgubiony.

Oczy jego błyszczały tak posępnym ogniem, a twarz była tak przerażająco blada, że Letycya się przelękła.

— Franku, Franku, banknot będzie zwrócony! Chciałam powiedzieć, zarzucił się tylko! Ale gdyby nawet zginął nie byłoby jeszcze powodu do rozpaczy, mógłbyś zwrócić tę sumę, będziemy oszczędzać i przy końcu roku, skoro będziesz zdawał rachunki, szpital odbierze te pięćdziesiąt funtów.

— Pięćdziesiąt! krzyknął Frank rozpaczliwie, to był banknot na pięćset funtów.

— Pięćset! A! Franku!

— Tak, na pięćset funtów! Lord Hope się omylił i dał mi go zamiast pięćdziesięciu, dziś dopiero spostrzegł tę pomyłkę, i dlatego właśnie wezwał mnie do siebie.

Letycya stała jak wryta z osłupiałemi oczyma, z otwartemi ustami. Jak go uspokoić... Pomimo przerażenia pocieszała się tą nadzieją, nieomylną jak jej się zdawało, że stosownie do zapewnienia Dianny pieniądze zostaną wkrótce zwrócone, lecz związana swą szaloną obietnicą milczenia, nie śmiała jej złamać, nie śmiała powiedzieć prawdy i ukoić rozpaczy męża, jakkolwiek czuła że cierpi z jej winy.

— Letycyo! Letycyo! co czynić? powtarzał nieszczęśliwy, chwytając się za głowę; wszak widziałaś sama że tu schowałem te pieniądze.

— Widziałam, szepnęła zaledwie dosłyszanym głosem.

— Widziałaś, i powiedziałem ci czyje to są pieniądze, a teraz nie mogę ich tu znaleźć! Nie mogłem także wyjąć ich ztąd i schować w innem miejscu, ponieważ udałem się natychmiast na górę, a następnie wyjechałem zawezwany przez matkę. Letycyo, Letycyo co czynić!

— Odzyskasz, znajdziesz te pieniądze, Franku!

Powiedziała to z tak głębokiem przekonaniem, że Frank nie zadając sobie pytania na czem opiera się ta jej pewność, uspokoił się trochę na chwilę. Włożył pieniądze do kassy, obecnie napróżno ich tam szukał. Gdzie się podziały? Gdzie ich szukać? Letycya zapewniała że się znajdą... tak, miłosierdzie Boga jest nieograniczone! Jednak w parę minut później zawołał znów z rozpaczą:

— Letycyo! jestem zgubiony, straciłem wszystko!.. Pociągam ciebie wraz z sobą w przepaść nędzy i rozpaczy!.. Ciebie mój skarbie, moja ukochana. ciebie droższą mi nad własne życie!

— Franku! zawołała Letycya zalewając się łzami, nie mów tak, nie mów. Odzyskasz wszystko! Wszystko się wyjaśni!

XVI.

To ja.

Napróżno Letycya starała się pocieszyć męża, Frank nie zwracał uwagi na jej pocieszające zapewnienia. Upadający pod ciężarem tak nieprzewidzianego nieszczęścia, prosił Letycyę aby się udała na spoczynek, on zaś przetrząśnie raz jeszcze wszystkie szuflady i kassę, a jeżli nie znajdzie pieniędzy, będzie zmuszony udać się nazajutrz rano do pałacu, i wystawić się na tak hańbiące podejrzenia.

— Wszystko będzie dobrze Franku, zobaczysz to wkrótce. Proś tylko baroneta aby czekał cierpliwie dwa, a najwięcej trzy dni. Nie zapomnij powiedzieć mu tego. Stary niedołęga! On sam zawinił! jak mógł popełnić taką pomyłkę!

W parę minut później, Letycya odeszła niechętnie do sypialnego pokoju. Położyła się najsilniej przekonana że nie zaśnie, tak wiele myśli snuło się w jej głowie: — Pięćset funtów! Niepodobna aby Dianna nie spostrzegła tej pomyłki! Niepodobna aby natychmiast nie zwróciła tych pieniędzy! Niepodobna aby nie zwolniła przyjaciółki z przysięgi milczenia! A! gdybym mogła pomówić choć chwilkę z Dosią, może dowiedziałaby się czegoś od niej.

Pomimo wewnętrznego niepokoju, Letycya zasnęła po niejakim czasie. Śniło jej się właśnie coś o kwiatach, strumyku i ptaszkach śpiewających na drzewie — bo rzadko przedstawia nam się to o czem najwięcej myślimy, gdy przebudziło ją nagle światło padające jej na oczy:

— Nie położyłeś się jeszcze Franku? zawołała.

— Drzemałem na fotelu, i przebudziłem się raptem przypomniawszy sobie...

— Co takiego?

— Że wyjeżdżając nie wziąłem z sobą klucza od kassy, zostawiłem go w kieszeni od tużurka.

— A więc. . co... przypuszczasz? wybąkała przerażona Letycya.

— A więc jest dla mnie niewątpliwą rzeczą że to Pat mnie okradł. Opowiedział mi jakąś bajkę o chorobie swej matki, a ja byłem tak łatwowiernym że pozwoliłem mu pójść do niej. Będę mógł uważać się za bardzo szczęśliwego, jeźli już nie wypłynął do Ameryki, unosząc z sobą te pięćset funtów.

— Co zamyślasz czynić?

— Telegrafować do Korku, aby przytrzymano tego niegodziwca, jeźli tylko nie znajduje się jeszcze u matki, o czem przekonam się zaraz.

Letycya zdrętwiała prawie z przerażenia, lecz wiadomość że Frank pójdzie najprzód do matki Patrycego uspokoiła ją trochę. Zastanie go tam pomyślała i przekona się że jest niewinnym, a chcąc zadowolnić własne sumienie, dodała głośno.

— Pat nie wziął tych pieniędzy!

— A więc któż je wziął? Wszakże nie ty, dodał porywczo.

Letycya zakryła głowę kołdrą.

Frank wyszedł z domu z namarszczonem czołem, z małą zaledwie iskierką nadziei w sercu.

Rozwidniało się już a Letycya walczyła jeszcze ze swemi myślami; jedne z nich były groźne, przerażające, odpychała je też usilnie od siebie przyzywając na pomoc pocieszające. Wszak Dianna może zwrócić te pięćset funtów zanim Frank wróci od matki Pata! Nie tylko może, ale prawdopodobnie już je wysłała, i nadejdą wkrótce! Jakim sposobem wsunąć je do kassy? Ba! można wybrnąć z cięższego jeszcze kłopotu. Wyobrażam sobie jak Frank będzie zdumiony gdy znajdzie ten banknot w kassie. Nie będzie mógł zrozumieć jakim sposobem nie spostrzegł go tam przedtem.

To ostatnie przypuszczenie pobudziło Letycyę do głośnego śmiechu.

— Bądź co bądź, dodała, nie chcę już nic ukrywać przed Frankiem. Zawsze to przykro mieć jakieś tajemnice dla męża.

Letycya zeszła do pokoju jadalnego zupełnie spokojna. Czekała pół godziny, trzy kwadranse, a mąż nie wracał. Nad samowarem unosiły się kłęby pary, woń herbaty rozchodziła się w powietrzu i zaostrzała apetyt Letycyi. Zjadła kilka grzaneczek, parę kawałków szynki i wypiła herbatę, postawiła resztę szynki i dwa jajka przed nakryciem męża, a kawę z maszynką na fajerce aby zastał gorącą gdy powróci. — Trzeba przyznać, pomyślała, że miło jest myśléć o wygodach męża. Nie zastanawiałam się nad tem nigdy będąc narzeczoną, ani też po ślubie, dlatego też zajmowałem się jedynie sobą. Tak, muszę przyznać że małżeństwo ma swoje dobre strony, o ktorych nie miałam najmniejszego wyobrażenia.

Ten mąż tak pieszczony w myśli, wrócił nakoniec blady, smutny, zmęczony. Letycya pośpieszyła nalać mu kawę.

— Cóż powiedział Pat? Biedny chłopiec okazał się niewinnym jak dziecię; wszak prawda?

— Biedny chłopiec? Powiedz lepiej: nieszczęsny złoczyńca!

— Jakto! przyznał?..

— Nie, zapiera się uporczywie! ale w końcu przyzna się do winy. Oddałem go w ręcę policyi.

— Ty, Franku! Nie, nie, to być nie może! zawołała zrywając się z krzesła.

Frank spojrzał na żonę z największem zadziwieniem.

— Cóż w tem widzisz tak potwornego? Niegodziwiec ukradł z kassy swego pana pięćset funtów, i to ma ujść mu bezkarnie?

— Ah! Franku, po cóż go oddałeś w ręce policyi?

— A od czegóż jest policya, jeźli nie od tego aby chwytała złodziei. Bądź co bądź, przeszedłem ciężką chwilę u jego matki. Biedna kobieta jest bardzo słaba. Niech Bóg zlituje się nad nią! Gdyby umarła...

Letycya śmiertelnie blada, chodziła po pokoju załamując ręce.

— Franku! Franku! Pat nie wziął tych pieniędzy!

— Nie wziął, odpowiedział Frank, a więc *któż* je wziął?

— Mniejsza o to kto. Pieniądze się wrócą, jestem tego pewna, i wiem także z pewnością że ten biedny chłopiec ich nie wziął. Zawierz moim słowom, wróć mu wolność!

Letycya mówiąc to drżała jak listek.

— Uspokój się. moja droga, dręczysz się niepotrzebnie. Widać że to chłopak zepsuty, który mógłby nie długo dostać się do ciężkiego więzienia lub na szubienicę; lepiej dla niego że straci możność dopuszczenia się innych zbrodni.

— Franku! Pat jest niewinny, zupełnie niewinny! Ja... wiem kto wziął te pieniądze!

— Wiesz!..

Frank równie blady jak Letycya, uchwycił ją za ręce, wpatrując się w nią prawie błędnym wzrokiem.

— Wiesz... kto je zabrał?.. powtórzył cicho.

— Wiem, odpowiedziała przerażona, usiłując wyswobodzić swe ręce.

— Letycyo to nie prawda. Jak możesz tak kłamać!

— Nie kłamię... Pat nie dotknął tych pieniędzy. Trzeba to powiedzieć jego matce! Trzeba uwolnić go jak najprędzej.

— Niedorzeczność! Pat będzie osądzonym i skazanym na deportacyę, jeźli nie wiesz z pewnością kto się dopuścił kradzieży i nie wymienisz mi jego nazwiska. Świadczą przeciwko niemu wszelkie pozory... świadczy przeciwko niemu twoje milczenie... Zastanów się, Letycyo, jeźli Pat jest niewinnym, jeźli będzie deportowanym, jego matka umrze ze zmartwienia, a ty będziesz jej zabójcą.

Letycya podniosła głowę.

— *Ja wyjęłam banknot z kassy!*

Frank puścił jej ręce, cofnął się patrząc na nią szeroko roztwartemi oczyma, a potem upadł na krzesło.

— *Ty* go wzięłaś! wyrzekł następnie tak zmienionym i złamanym głosem że Letycya nigdyby go

nie poznała. Czy dostałem obłędu? Czy powiedziałaś to rzeczywiście?

Odpowiedziało mu milczenie wymowniejsze jeszcze niż słowa?

— Gdzie są te pieniądze? Dlaczego...

Letycya wstrząsnęła głową.

— Mów prędko!

— Nie mogę.

— Nie możesz! zawołał z gniewem, a oczy jego błysnęły ogniem.

— Franku, nie pytaj mnie o to! Wkrótce wszystko się wyjaśni, dowiesz się o wszystkiem! Błagam cię, uspokój matkę Pata!

— Matkę Pata, powtórzył wolno: tak, powiem jej wszystko, powiem Patowi, powiem baronetowi że... o Boże, Boże!.. moja żona jest złodziejką!

— Franku! jak śmiesz!..

— A! przywłaszczyłaś sobie pięćset funtów! sam czyn nie budził w tobie odrazy, a obruszasz się gdy go nazwałem właściwie! Słuchaj uważnie Letycyo, jeźli nie odpowiesz natychmiast na moje pytania, wszystko skończy się między nami. Gdzie są pieniądze?

Letycyi zdawało się że jej krew zastyga w żyłach gdy usłyszała te słowa wymienione głosem ostrym, rozkazującym, i gdy spotkała spojrzenie jakiego nigdy dotąd nie rzuciły oczy jej męża. Ale przyrzekła milczeć.

— Nie mogę tego powiedzieć.

Frank milczał przez chwilę.

— Dobrze, zostawię ci czas do namysłu. Pójdę uwolnić Patrycego, i powiem aby uspokoił swą matkę. Potem wrócę i zażądam szczerej odpowiedzi na moje pytanie.

Powiedział to wolno, głosem umiarkowanym, jak człowiek przygotowany na wszystko, a potem wyszedł nie spojrzawszy nawet na żonę.

Biedna kobieta wpadła w pewien rodzaj osłupienia. Jakby w jakiemś sennem marzeniu, widziała przed sobą to postać Dianny i Harrington'a, to znów strumień lub kassę, a konwulsyjne łkania wydobywały się z jej piersi i wstrząsały nią całą.

Przyniesiono listy z poczty. Letycya zobaczyła wśród nich jeden do siebie, adresowany ręką mistress Harrington. Rozdarła śpiesznie kopertę i przeczytała:

„Najdroższa! Jestem w siódmem niebie! Jedziemy do Włoch! Przyjaciel Dicka odmówił pieniędzy! Tobie jedynie zawdzięczamy szczęście nasze! *Pięćset podziękowań!* Spal tę kartkę. Przypominam ci przysięgę milczenia! Złamanie jej mogłoby nam jeszcze zaszkodzić. Twoja wdzięczna

Dianna Harrington."

Trudno sobie wyobrazić przerażenie Letycyi. Wyjechali do Włoch i nie zwolniła jej z przyrzeczenia! I jakby z niej szydziła, przesyła tylko *pięćset* podziękowań!

Płochość nie dopuszcza hartu duszy. Letycya zgnębiona, otrętwiała, zarówno nie zdolna zgodzić się ze swem położeniem jak wyzwolić się z niego, czuła jakiś straszny zamęt w głowie, nic już zrozumieć i o niczem myśleć nie mogła.

Frank tymczasem uwolnił Pata i kazał mu uspokoić matkę. W głowie jego panował także przerażający chaos. Wczoraj szczęśliwy, szanowany! Dziś stracił honor i szczęście! Jego ukochana, jego żona... nie to być nie może! Ona skłamała! Nigdy temu nie uwierzy! Musiałby zwątpić o wszystkiem na świecie!..

Nieszczęśliwy szedł przez ulicę z głową pochyloną, z niewysłowionym bólem w sercu, wesołe dzień dobry wyrwało go z zamyślenia. Był to pan Vellacot właściciel znanego już nam sklepu.

— Wstajesz pan równo ze słońcem! Zawsze czynny! Tym jedynie sposobem można robić dobre interesa! Cieszy mnie bardzo że spotykam pana, chciałem mu właśnie wręczyć mały rachuneczek.

Wyjął z pomiędzy innych ćwiartkę papieru związaną różową wstążeczką, wsunął ją w rękę Franka, i poszedł dalej.

Frank nie zdolny prawie zrozumieć o co idzie, rozwinął papier i przeczytał rachunek. Rozpoczynał go kołnierzyk koronkowy z mankietami i rękawiczki, a dalej wymieniono kufereczek ręczny z ruskiej skóry, kostium podróżny, chustki do nosa, szal Himalya. Razem siedemnaście funtów pięć szylingów. Jednak nie ta suma, jakkolwiek dla niego wysoka, przeszyła znów jakby ostrzem sztyletu jego serce. Nie, stokroć nie! Ale ten rachunek *ją* potępiał, był niezbitym dowodem *jej* winy!

Niekiedy wprawdzie chmurki zaćmiewały jego słońce, nasuwając mu powątpiewanie o dobroci uczynionego wyboru, ale jedna pieszczota Letycyi, jeden uśmiech lub spojrzenie rozpraszały te chmurki, i przywracały słońcu jego blask świetny. Teraz widział że był ofiarą nieszczerości, podstępu, chytrości, oszukaństwa, które w końcu doprowadziły do... kradzieży! Ją! jego żonę!.. Więc aż do tego popchnęło ją samolubstwo, połączone z próżnością i pychą!

Patrzył na rachunek mnąc go w ręku prawie nieprzytomny. Stanęło mu w myśli straszne jego położenie, czekająca go hańba — niepodobna mu będzie oddać tych pięciuset funtów — ta pewność odebrała mu zupełnie siły. Postąpił jeszcze parę kroków, zachwiał się i byłby upadł gdyby go nie podtrzymała ręka przyjaciela. Do księgarni było już tylko kilka kroków, Bryan wprowadził go do sieni, posadził na ławeczce, skropił twarz jego zimną wodą.

Frank nie prędko odzyskał przytomność, w końcu jednak otworzył powieki, bolesny uśmiech przesunął się po jego ustach.

— Czemu nie pozwolono mi umrzeć?

— Umrzeć?

Frank zwrócił na przyjaciela rozpaczliwe spojrzenie. Jeszcze nie odzyskał zupełnej świadomości rzeczy, jedna tylko myśl rozbudziła się w jego głowie, taż sama która doprowadziła go do tego stanu.

— Letycya!.. szepnął.

— Letycya? Czy chora?

— Jestem... zgubiony!

Po tych słowach, Frank, człowiek energiczny mężny, zapłakał gorzkiemi łzami.

Kilka dni temu Bryan nadmienił mu delikatnie że wypadałoby czuwać nad Letycyą i jej stosunkami, wspomniał o całkiem niepożądanych znajomościach zawiązanych w Rostrewor, o przypadkowych, zapewnie, spotkaniach, Frank, nie zwrócił prawie uwagi na jego słowa. Teraz przypomniał je sobie nagle, i zawołał chwytając rękę przyjaciela:

— Letycya! Czy wiesz co o niej?

— Nic prawie. Uspokój się! Powiem ci to.

— Mów prędko! Chcę wiedzieć wszystko!

Bryan opowiedział mu krótko, zwięźle, że w czasie próby śpiewu jakiś mężczyzna z listem w ręku ukazał się na chwilę w oknie, że gdy następnie odprowadzał Letycyę do domu, jakiś nieznajomy chciał jej wręczyć list pod pozorem że wypadł z jej kieszeni, co mu się jednak nie udało. Następnie przeszedł do piosenki śpiewanej głośno tegoż samego wieczora tenorowym głosem, i do spotkania przy moście, którego przypadek pozwolił mu być świadkiem; nakoniec dodał że głos przeczucia ostrzegał go, iż wszytkie te odrębne wypadki mają z sobą ścisły związek.

Frank słuchał go jak skazany słucha wyroku śmierci. Niepodobna dłużej powątpiewać, nieznajomy, mężczyzna z listem i nocny śpiewak, byli jedną i tąż samą osobą.

Nieznajomy? Bynajmniej! Jakaś dawna znajomość jakiś kompromitujący adonis, którego milczenie trzeba było kupić! *Pięćdziesiąt funtów!* miało je opłacić. Czy sumienie nikczemnika zdolnego handlować podobnemi rzeczami, mogło mu wzbronić korzystania z podobnej pomyłki, przywłaszczenia sobie pięciuset, zamiast pięćdziesięciu funtów.

Od początku do końca nieprzerwane pasmo podstępów, fałszu, obłudy, niegodziwości! On zaś, Frank Tippington, oszukany, zdradzony, zniesławiony!

Jednak ani jednem słowem nie oskarżył Letycyi, i tylko strasznie zmieniona twarz jego dozwalała się domyślać jak ciężkie znosi męczarnie.

Niezgłębiona przepaść oddzielała jeszcze Letycyę taką jak była w istocie, od tej istoty zdradliwej i upadłej, jaką Frank widział w niej obecnie. Rozważmy jednak że to przez nią znosił te straszne tortury moralne, próżna, samolubna, obojętna w rzeczach wiary, bałwochwalczo przywiązana do świata, ona to ściągnęła na niego tak straszne nieszczęście.

Mówią wiele o cierpieniach które słabsza połowa rodu ludzkiego znosi od silniejszej, lecz nie zapominajmy że ta słabsza posiada smutny przywilej, dozwalający jej okryć hańbą najenergiczniejszego nawet mężczyznę. Nie potrzebuje na to dojść aż do występku, wystarczą na to małe słabostki, małe grzeszki, drobne ustępstwa sumienia naszego.

Frank uścisnął milcząc rękę Bryana, i zdawało mu się że tem uściskiem żegna swą młodość, swą jasną przeszłość i nadzieję błogiej przyszłości, a żegna je już na zawsze.

XVIII.

Jak postąpił.

Frank stał przed Letycyą z utkwionemi w jej twarz oczyma. Męzki jego smutek nadał pięknym jego rysom jakiś odmienny wyraz, nadający mu podobieństwo do anioła mściciela.

Nie był to już ten mąż kochający ją namiętnie, którego gniew rozbijała jednym uśmiechem lub pocałunkiem. Zaszła w nim zupełna zmiana. Serce Letycyi opanowała niewysłowiona trwoga, a jednocześnie czuła że rozbudziło się w niem jakieś nieznane jej dotąd uczucie, jakaś nowa miłość: miłość zapominająca o sobie, miłość skłonna do poświęceń, miłość zabijająca samolubne ja, słowem, miłość prawdziwa.

— Letycyo, odezwał się nakoniec Frank, w jakim celu zabrałaś te pieniądze? Komu je dałaś?

W duszy Letycyi toczyła się walka między chęcią wyznania prawdy, a obawą złamania przysięgi. Milcząc spojrzała na męża. Czy Frank sam szlachetny, prawy, sumienny, mógłby jej wrócić swą miłość, lub tylko udzielił pogardliwe przebaczenie, gdyby dla odzyskania jego serca złamała uroczyste przyrzeczenie?

— Ah! Franku! zawołała rozpaczliwie: Nie mogę powiedzieć.

— Możesz. Każdy może uczynić to co powinien.

— Ja powinnam milczéć! Przysięgłam...

— Przysięgłaś? rzekł pogardliwie. Przysięgłaś zdradzić męża? Wzywam cię raz jeszcze, powiedz! powiedz! przez litość dla siebie samej... dla mnie!

Spuściła głowę. Straszliwy ból ścisnął jej serce, powstrzymywała rozpaczliwie cisnące jej się na usta wyznanie, ale Frank nie domyślał się jej uczuć i posądzał o upór.

— Zastałem cię raz w księgarni samą z jakimś młodym mężczyzną, czy to jemu dałaś te pieniądze?

Zanim Letycya zdołała zaprzeczyć, Frank zawołał:

— To on! to ten sam człowiek starał się wsunąć ci list pewnego dnia wieczorem! to z nim spotkałaś się w umówionem miejscu, przy moście! Nie przecz napróżno. Na każde moje pytanie oczy twoje odpowiadają *tak!* Niechże usta twoje powtórzą to co mówią oczy, powiedz *tak*, a będę wiedział co mam czynić.

Letycya, w swej względnej niewinności, nie domyślała się jak straszne podejrzenie dręczyło duszę jej męża, dlatego też nie mogła zrozumiéć czemu, w oczach Franka, oddanie pięciuset funtów nieznajomemu, stanowiło cięższą winę, niż wzięcie ich z kasy! Wszakże to właśnie stanowiło grzech, jeźli było grzesznem; reszta jako wynik litości, szlachetności — choćby nawet nierozważnej — powinienby zmniejszać jej winę, zamiast ją powiększać. Tymczasem oburzenie Franka wzrastało z każdą chwilą.

— Nie wolno mi wyrzec ani słowa... wyjaśniającego te rzeczy, wybąkała drżąca. To tylko powtórzyć mogę, że wzięłam pieniądze.

Głuchy jęk wydobył się z piersi Franka. Przeczuwał tę odpowiedź, a jednak doznał takiego uczucia jak człowiek odbierający cios śmiertelny, w chwili gdy życie najmilej uśmiecha się do niego. Dotąd, sam nie wiedząc łudził się jeszcze nadzieją. Teraz stracił ją zupełnie.

— Zabierz twoje rzeczy. Wyjedziesz.

— Ja, Franku?

— Pojedziesz do mej matki. Zabierz co ci niezbędnie potrzebne, resztę później odeślę. Śpiesz się.

— Do twej matki? O! nie!..

— Tak być musi! Tam jest twoje miejsce! Ani słowa więcej!

Letycya spojrzała na niego nieśmiało. Gdyby też zarzuciła mu ręce na szyję? Gdyby powiedziała mu ze łzami że jest jego żoną, jego *jedyną pieszczoszką*, że nie może go opuścić? Postąpiła już krok naprzód, lecz wyczytała z posępnej i surowej twarzy męża że odrzuci jej pieszczoty: Oburzyło ją to.

— A! jest dla niej niesprawiedliwym; nie ufa jej, obchodzi się z nią jakby z jakim złoczyńcą, pomimo jej zapewnień że wszystko się wyjaśni, że wszystko będzie dobrze! Nie chce jej wierzyć! jest dla mnie okrutnym, nielitościwym, bez serca! Wypędza ją z swego domu.

— Skoro odjadę, pomyślała, przypomni sobie może jak mnie dotąd kochał. Może trudno mu będzie żyć bezemnie. Może pomiarkuje że karząc mnie, ukarał i siebie. Wtenczas, (najdalej jutro) przeprosi mnie, ja także przyznam się do winy, a następnie zostanę dobrą gospodynią, rozważną, czynną, pracowitą; będę przyszywać guziki, cerować skarpetki, przyprawiać potrawy, i czuwać nad porządkiem w domu. Wyrzeknę się dobrego tonu i dystynkcyi, będziemy szczęśliwsi niż królowie!

Pokrzepiona tą pewnością Letycya, zeszła w kilka minut później w podróżnem ubraniu. Frank spojrzał na kuferczek i rzekł z goryczą:

— Mógłabyś teraz pochwalić się z pięknym kuferczkiem z ruskiej skóry, którego nie chciałem nabyć dla ciebie, jako rzeczy zbytkownej... a który jednak wzięłaś na rachunek, z dodatkiem koronek, kostiumu, szala, i chustek które wrócą napowrót do sklepu pana Vallacot.

Zadziwiona Letycya, z trudnością powstrzymała uśmiech. Wszakże te wszystkie rzeczy były już w drodze do Włoch.

Biedna Letycya! zaufanie w sobie i dobre postanowienia podtrzymywały jej odwagę. Nieznająca własnego serca i własnej niestałości charakteru, nie domyślała się nawet że bez pomocy Boga, bez Jego łaski nie zdoła się poprawić. Jednak prawdziwa miłość podnosi i uszlachetnia duszę: Letycya postawiła pierwszy krok na dobrej drodze.

Ta nieznajomość rzeczywistego życia, ta wrodzona lekkomyślność, przyczyniająca się tyle do uspokojenia naszej bohaterki, stanowiły wybitną sprzeczność z charakterem Franka. Obdarzony umysłem poważnym, logicznym, widział całą głębokość grożącej mu przepaści. Zniweczona przyszłość, stracone dobre imie, całe życie złamane! Do tego upadku przywiodła go ta biała ręka, którą pragnął tak gorąco posiadać, te różowe paluszki na które z takiem upojeniem radości włożył ślubną obrączkę!

Niewzruszony w swem postanowieniu, spokojny na pozór choć burza wrzała w jego sercu, odprowadził żonę na stacyę. Posłał telegram do fermy, prosząc aby przysłano po Letycyę do kolei, a następnie zdobył się na tyle mocy nad sobą, że na pożegnanie pocałował ją w czoło.

Pocałunek był tak zimny, usta tak lodowate, że Letycya zadrżała, jakby ją dotknęły usta zmarłego. Zerwała się z miejsca, chciała biedz do Franka, uchwycić się jego ręki z rozpaczliwą siłą. Ktoś ją zatrzymał, zadzwoniono, wagony ruszyły, i za chwilę Frank znikł z jej oczu.

Gdy Letycya wsparta o poduszki wagonu, wylewała łzy podobniejsze do majowego deszczyku jak do jesiennej ulewy, Frank, któremu już nie przyświecał najdrobniejszy promyczek nadziei, szedł zbolały, ale mężny, spełnić swój obowiązek.

Księgarnia była jeszcze zamknięta. Czy ją tak zostawić? Nie. Byłoby to okazać wszystkim że go spotkało jakieś nieszczęście. Patrycy, który nadszedł właśnie, otrzymał rozkaz otworzenia okiennic i zajęcia swego miejsca za kantorem.

Frank wypił szklankę wody, zjadł kawałeczek chleba, i udał się do pałacu. Wprowadzono go do biblioteki, gdzie baronet powitał go podając mu rękę.

— Włożyłem razem do pugilaresu dwa bilety bankowe, jeden na pięćset drugi na piędziesiąt funtów, zawołał, i byłem tak nieuważny że nie spojrzałem który z nich daję panu!

— Czy jesteś zupełnie pewnym, milordzie, że dałeś mi pięćset a nie piędziesiąt funtów?

— Wyborne pytanie! Najzupełniej. Najlepszym tego dowodem, że nie mam go w pugilaresie, i że mi go pan odnosi, odpowiedział śmiejąc się baronet.

— Nie mam tego biletu, milordzie.

Ta odpowiedź przerwała nagle śmiech baroneta.

— Nie masz go, master Tippington?

— Nie mam, milordzie.

— To ma znaczyć że okazałeś się równie rozstrzepanym jak ja, i wydałeś pięćset funtów za piędziesiąt? Przyznaj że to rzecz nie miła dla mnie. Człowiek prowadzący interesa handlowe, nie powinien wydawać papierów wartościowych, nie obejrzawszy ich pierwej. Pozwól mi także dodać, master Tipington, że byłoby właściwiej oddać te pieniądze natychmiast do kassy szpitalnej, niż odkładając to na później, zatrzymywać u siebie. Kasyer nie może być nigdy zbyt systematycznym i skrupulatnym.

Gdy baronet to mówił, jakiś głos zdawał się szeptać do ucha Franka: Nie wyprowadzaj go z błędu! Korzystaj ze sposobności! Zyskasz na czasie. Powiedz mu że rozpoczniesz poszukiwania. Stary roztrzepaniec! wprowadził cię przez swą pomyłkę w tak straszne położenie, i teraz nie wstydzi się dawać ci jakieś nauki.

Frank jednak odtrącił od siebie rady kusiciela. Letycya, żona jego przewiniła, on uchroni ją od skutków tej winy, przyjmie ją na siebie wraz ze wszystkiemi jej następstwami. Dlatego też gdy baron zawołał niecierpliwie:

— Komuż pan dałeś ten bilet?

— Nikomu, odpowiedział Frank, bilet ten znikł z kassy. Przyszedłem oddać się w ręce pana.

Baronet wpatrzył się w bladą i zmienioną twarz Franka, nie mogąc go zrozumiéć.

— Może, mówił dalej Frank, pieniądze zostaną mi zwrócone, nie mogę jednak ręczyć za to. W każdym razie, nie mogę ich oddać obecnie. Piędziesiąt funtów, tak, pięćset niepodobna! Upłynęłoby wiele lat zanim zdołałbym spłacić podobną sumę. Los mój w twoich rękach, milordzie!

— Prawisz mi jakieś brednie, master Tippington! gdyby nie było tak rano, sądziłbym... że jesteś pijany.

— Nie miałem jeszcze nic w ustach prócz wody, milordzie. Pieniądze znikły z kassy, a ja czekam na twe postanowienie.

— Czy wyobrażasz sobie, master Tippington, że mnie zbędziesz takiemi niedorzecznościami?

— Nic sobie nie wyobrażam, milordzie. Nie będąc w stanie zwrócić pieniędzy, oddaję się sam w twoje ręce, przygotowany na wszystko co mnie może spotkać.

— Ale czy zastanowiłeś się dobrze, master Tipington, jakie to pociąga za sobą następstwa? Oddam cię w ręce policyi.

— Spodziewałem się tego.

— Staniesz przed sądem jako obwiniony... o kradzież.

— Niech się dzieję wola Boża! odpowiedział po chwili milczenia.

Na twarzy baroneta ukazał się wyraz pogardliwego zadziwienia. Czy mam do czynienia z obłudnym świętoszkiem? pomyślał. Potem dodał głośno:

— Czy i przywłaszczenie sobie moich pieniędzy wydawało ci się także zgodne z wolą Boga?

— Podobna myśl nie mogłaby powstać w mej głowie. Napisz pan rozkaz aresztowania mnie. Zapewniam że nie ucieknę, pozostanę w tym pokoju.

(*D. c. n.*)

Opis do N-ru 45.

(*Dokończenie.*)

N. 33—34. Kapotki zimowe.

Kapelusze filcowe i aksamitne modne są w różnych kolorach, odpowiednich do sukien; prócz popielatych jasnych i ciemnych, ciemno-zielonych, granatowych i bronzowych odznaczają się czerwonawo-bronzowe i koloru nazwanego „terra cotta“. Dla młodych osób ciągle utrzymują się fasony z wielkiem rondem, lub też tak zwane „chasseur“ z wysoką główką i sztywnem wązkiem rondkiem. Dla mężatek właściwsze są kapelusze wiązane, jakie przedstawiliśmy na ryc. 33—34; jeden model jest filcowy, z rondkiem bufowanem aksamitnem, przybrany wstążką otomanne 8 cent. szeroką i piórami. Kapelusz aksamitny ryc. 34 zdobny przy twarzy garnirowaniem z koronki 7 cent. szerokiem, wstążką repsową 6 c. szeroką, opaską dżetową i krótkiemi piórkami strusiemi.

N. 35. Sofa z serwetką z haftem weneckim i poduszką. Patrz deseń na arkuszu z krojami do N-ru 44 i 45, dalszy ciąg dany na następnym arkuszu.

Serwetka podłużna, stanowiąca przykrycie na poręcz eleganckiej sofy, odrobiona jest haftem weneckim i liczy 190 cent. długości, szerokość zaś taka jak deseń N. 1 na arkuszu z krojami. Tło stanowi cienkie płótno białe lub żółtawe, do haftu użyty kolorowy jedwab, filozela i złoty bajorek gładki w najlepszym gatunku; zastosowanie rozmaitych ściegów dokładnie wskazane na deseniu.

Opis do N-ru 46.

N. 1—2. Ubranie spacerowe. Krój vêtement na dodatku z formami i deseniami N. I, fig. 1—8.

Ryc. 1 i 2 przedstawia z przodu i z tyłu kostium spacerowy, odrobiony podług jednego fasonu lecz z odmiennego materyału i z odmiennym garnirunkiem. Na modelu do ryc. 2 vêtement było odrobione z ciemno-bronzowego kaszmiru, a plastron i spódnica z pluszu oliwkowo-zielonego, ozdobiona wstawionemi plisowanemi częściami, 88 cent. wysokiemi, z materyi bronzowej, i zębami 20 cent. wysokiemi, układanemi z pomponów bronzowych. Ryc. 1 przedstawia kostjum z materyałów popielatych w trzech cieniach. Na fig. 1—8 dajemy formę vêtement na osobę dobrej tuszy; przody stanika zapięte są pod plastronem na płaskie guziczki; plastron przyszywa się na wierzchu z jednej strony, a z drugiej zapina na kryte haftki. Przednie bryty vêtement przykrojone razem z boczkami podług fig. 4a, przyszywają się szwem odwracanym do przodów stanika, podpinają w górze w bufę 17 cent. szeroką, widoczną na r. 2, z boków fałdują podług krzyżyków i punktów, a brzegi boczne spuszczają się luźno; brzegi dolne i boczne podszywa się listewką jedwabną 10 cent. szeroką. Bryt tylny przykrojony podług miar danych na fig. 5, zmarszczony i przyszyty na plecach podpina się w górze w bufę 30 cent. długą, a od dołu luźno puszcza.

N. 8—11. Frendzle sznelowe.

Do ozdoby płaszczyków i wszelkich okryć aksamitnych lub pluszowych, na równi z obłożeniami z różnego rodzaju futer, modne są bogate frendzle sznelowe, przerabiane w węzły, listki, pompony lub grelotki i t. p. Kilka takich wzorów dajemy na ryc. 8—11; szerokość frendzli do okryć wynosi 11—20 cent., do ozdoby sukien używane są frendzle węższe lub torsady.

N. 12—15. Guziki i agrafki metalowe.

Obok pięknych i bogatych obłożeń i frendzli, prawdziwą ozdobą strojnych okryć i paletotów, są artystycznie wyrabiane metalowe guziki oksydowane, filigrowane albo emeljowane, z kolorowanemi biustami lub figurkami. W takim rodzaju wyrabiane są także agrafy do spinania pod szyją i klamry do pasków. Dawne familijne zabytki w tym rodzaju posiadane albo nabyte u antykwarjuszów są bardzo cenione. Na ryc. 12 i 13 dajemy parę wzorów guzików, a na 14 i 15 model agrafek; w wyrobach takich panuje wielka rozmaitość, a piękność i cena zależy od gustownego i starannego wykończenia.

N. 19—22. Fasony kapeluszy.

Tak w fasonach jak i w przyozdobieniu kapeluszy ciągle wielka panuje rozmaitość, to też prawie w każdym numerze naszego pisma dajemy ich modele. Obecnie nowość stanowią kapelusze z tkaniny lub z plecionki sznelowej, albo ubrane torsadą lub objęciem z listków sznelowych, robionem w sposób wskazany na ryc. 8. Do ubrania kapeluszy aksamitnych, pluszowych lub filcowych, obok piór i skrzydełek, nitek i kwiatów sznelowych, koronek stalowych, strzał i klamer, kwiaciarki wyrabiają upięcia z cieniowanych kwiatów i liści aksamitnych lub pluszowych albo pęki z marabutów w połączeniu z kokardami ze wstążki i sprzączkami. Zwierzątka i ptaszki mniej są używane. Upięcie z kwiatów i z marabutów dajemy na ryc. 1 i 2 w N. 47. Do najwięcej używanych fasonów należą kapotki i kapelusze okrągłe z dużemi rondami; fason „Cabriolet“ także odzyskuje wziętość.

N. 23—27. Serweta. Haft płaski na materyale płóciennem, wyrabianem w tak zwaną „gęsią skórkę“. Deseń na arkuszu z krojami fig. 41.

Tło serwety trzymającej 42 c. w kwadrat, stanowi tkanina lniana, wyrabiana w gęsią skórkę, na której rysuje się deseń podany na fig. 41. Gałązki, liście, i kwiaty, haftować trzeba ściegiem płaskim, cienkiemi, kordonkowemi jedwabiami. Kontury deseniu mają podwójne obrobienie, z których wewnętrzne haftować ściegiem sznureczkowym, jedwabiem, a zewnętrzne robić nitką złotą. Tąkąż nitką złotą przyszywaną jedwabiem, odznaczone są żyłki na listkach i kwiatach. Na ryc. 25 i 26 dajemy w naturalnej wielkości dwa pojedyńcze kwiaty i wskazujemy rodzaje ściegów, a na ryc. 27 oprócz kwiatka, wskazany jest sposób zarabiania tła. Liście haftowane były dwoma cieniami trawno zielonemi, a kwiaty dwoma cieniami niebieskiemi; tło wyszyte jest także dwoma cieniami jasno-niebieskiemi. Brzegi serwety otacza pas z pluszu niebieskiego, 12 i pół cent. szeroki, na którym wyszyte są kordonkiem vieil-or w dwóch cieniach szlaczki, do których wzór dajemy na ryc. 24; w rogach przyczepione są duże pompony z filozeli w kolorach haftu, z dodaniem złotej nitki. Frendzlę podaną na r. 24, robi się z nici i wyszywa nierozdzieloną filozelą w kolorach zielonych i niebieskich. Końce nitek od roboty frendzli zebrane po kilka razem, okręca się jedwabiem i przyczepia do nich pompony z różnokolorowej filozeli ze złotą nitką. Kwasty jedwabne ze złotem, daje się naprzemian z pomponami. Pod całą serwetę daje się podszewkę z lastyngu.

N. 31. Kapotka hiszpańska. Zobaczyć przód na ryc. 16 w N-rze 47. Krój na dodatku z formami N. IX, fig. 37—38.

Fason do kapotki ryc. 31 i 16 stanowi kawałek sztywnego tiulu, przykrojony podług fig. 37 i oszyty z brzegów agremanem. Wierzch kapotki stanowią razem zeszyte pasy z 10 cent. szerokiej czarnej koronki hiszpańskiej i ze wstążki ottoman 5 cent. szerokiej, której kawałek stanowi środek główki i pokryty jest w części zachodzącemi na niego zębami koronki. Na fig. 38 dajemy krój i miary kapotki, oraz wskazujemy dokąd brzegi oszywa się koronką. Najpierw trzeba kapotkę z przodu nad czołem przy oszyciu koronką przemarszczyć trzy razy, w odstępie $^3/_4$ cent. (w miejscu oznaczonem na fig. 38,) przyciągnąć do 16 cent. długości i do czółka tiulowego przyczepić; poprzeczne brzegi zmarszczonej i na tył głowy spuszczonej koronki są w miejscu oznaczonem krzyżykami i kropkami sfałdowane i ku tyłowi na czółku przyczepione, a końce spina się kokardą ze wstążki.

N. 36 i ryc. 4 w N-rze 47. Ubranie spacerowe dla panienki lat 10—12. Forma vêtement na arkuszu z krojami N. VII, fig. 29—32.

Na fig. 29—31 dana jest forma na zwierzchni materyał vêtement, pod które daje się gładką podszewkę do długości baskiny. Na fig. 29 dajemy formę prawego, na wierzch zachodzącego przodu, długość pleców i boczków dopełnia draperya krajana razem z przodami, której brzegi tylne fałduje się podług znaków i łączy na środku plecków pod kokardą, w sposób wskazany na r. 4 w N-rze 47. Tylną draperyę dopełnia bryt prosty w bufy podpięty. Spódnica plisowana do ryc. 36, który model odrobiony z materyału wełnianego w poprzeczne prążki, ozdobiona jest zaszytemi u dołu zakładkami. Ryc. 4 w N. 47 przedstawia kostium z ciemnego sukienka, oszyty kilka razy pletnią wełnianą, którą zastąpić może szlaczek haftowany krzyżykami, podług ryc. 7.

N. 40. Suknia ze stanikiem bluzkowym. Zobaczyć plecy na ryc. 17. Model i miary draperyi fig. 89.

Spódnica mająca 220 c. dolnej szerokości, garnirowana jest w sposób wskazany na ryc. 40 i 17, wolantami 25 cent. szerokiemi, układanemi w podwójne kontrafałdy. Chusteczkowe ubranie przodów stanika z krótką baskiną, układa się z dwóch kawałków, około 40 cent. szerokich, u góry i u dołu do 9 cent. szerokości przymarszczonych, między szwy na ramionach wszytych, a na wcięciu w stanie pod paskiem skrzyżowanych. Model i miary draperyi z prostego brytu dajemy na figurze 89, na której cienka kropkowana linijka oznacza środek przodu. Najpierw trzeba brzeg boczny z lewej strony sfałdować zazem z 20 cent. brzegu górnego do 13 cent. długości, dalej w odstępie 15 cent. fałduje się brzeg górny podług znaków, na 18 cent. długości. Tu kończy się przednia część draperyi, którą wszywa się w wązki pasek i przypina z lewej strony, przy bocznym szwie stanika. Teraz na tylną draperyę zeszywa się resztę górnego brzegu od gwiazdki do gwiazdki i fałduje w miejscach oznaczonych krzyżykami i punktami wraz z większą częścią brzega z prawej strony i przyczepia się na baskinie plecków, 5 c. poniżej wcięcia w pasie w sposób wskazany na ryc. 17. Nakoniec pozostały luźny róg zeszyty, oznaczony dwukropkiem na fig. 89, zakłada się na część fałdowaną, a niesfałdowaną 13 cent. długą część



N. 1—2. Ubranie spacerowe z vêtement. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—8.

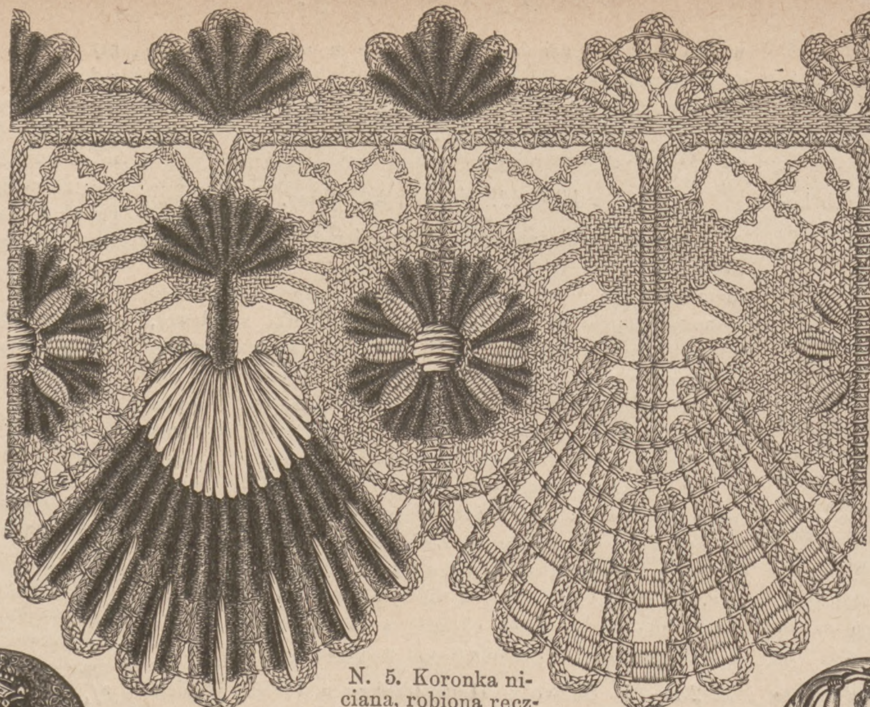
bocznego brzega, przypina się na haftkę do paska, w który jest wszyta draperya przednia. Do tasiemki przyszytej od spodu podpina się trochę zbufowaną i u dołu w parę fałd zaszytą tylną draperye, którą na guzik przypina się do spódnicy.



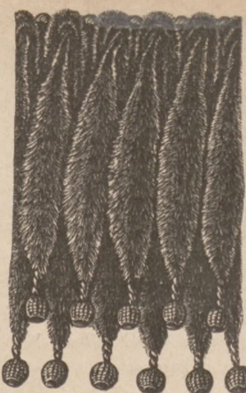
N. 3. Plecy do r. 46 w N-rze 47.



N. 8. Pasmanterya z liści szenelowych.



N. 5. Koronka niciana, robiona ręcznie. Napięcie deseniu patrz fig. 91 na arkuszu.



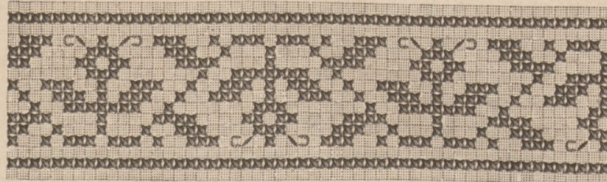
N. 9. Pasmanterya szenelowa z grelotkami.



N. 4. Przód do r. 47 w N-rze 47.



N. 12. Guzik miedziany emaljowany.



N. 7. Szlaczek wyszyty krzyżykami.



N. 13. Guzik srebrny oksydowany.



N. 14. Zapięcie do okrycia.



N. 6. Poduszeczka na toaletę.



N. 15. Zapięcie do okrycia.

N. 41 i 18. Suknia z vêtement. Model kroju vêtement na arkuszu N. XX, fig. 88.

Model do ryc. 41 i 18 odrobiony był z aksamitu bordo i srebrno-popielatego kaszmiru. Spódnica aksamitna nie potrzebuje garnirunku. Stanik do vêtement skroić można podług formy do ryc. 1 i 2, tylko do skośnie zapiętego stanika, dodaje się do zwierzchniej połowy przodu, część oddzielną wskazaną na fig. 88. Na przodach stanika, zapiętych pod szyją na guziczki, odznaczona jest kamizelka, naszytym na wierzchu kołnierzem z ranwersem, 5 c. szerokim. Przednią część draperyi *b* przyszywa się szwem odwracanym do stanika, a bryt tylny *c* złożony w rurki 3 c. zajmujące, przyszywa się na baskinie plecków. Szarfy podwójne 26 cent. szerokie, przyszyte są rozetą zrobioną z okrągłego kawałka mającego 50 cent. obwodu.

Opis do Nr. 47.

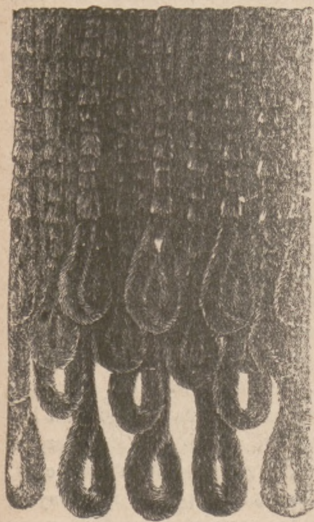
N. 1—2. Przybranie do kapelusza.

Na ryc. 1 dajemy rozetę z piórek marabout, której środek zapełnia kokarda z klamerką; r. 2 przedstawia bukiecik z kwiatów i liści aksamitnych ze szenelowemi gałązkami. Ptaszki o różnobarwnych piórkach są także modne, ale wiele osób nie gustuje i nie lubi tej ozdoby.

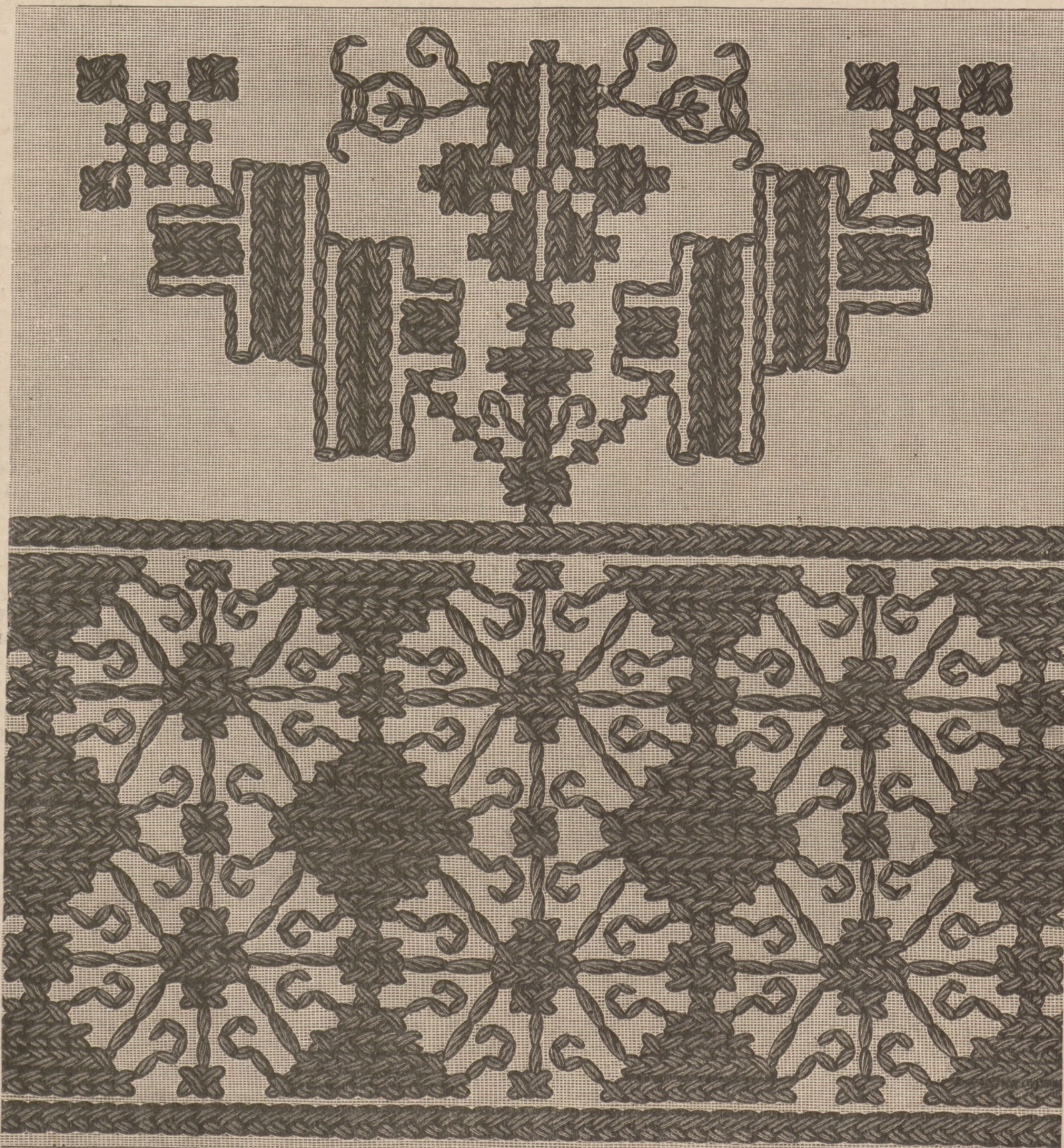
N. 3. Teka safianowa zdobna deseniem zdzieranym. Patrz ryc. 30 w N-rze 46 i fig. 90.

Liczy 40 cent. długości a 30 szerokości; szczegóły odnoszące się do wykonania roboty naciętej i zdzieranej na safianie i skórze, podawaliśmy już niejednokrotnie w Tygodniku i tegorocznych numerach. Dodamy tylko że dla wybitniejszego odznaczenia deseń środkowy pomalowany jest czarno akwarellą. Fig. 90 na arkuszu z krojami daje czwartą część deseniu, a ryc. 30 w N-rze 46 wskazuje część roboty wykończonej z tłem nakropkowanem; kółeczka w szlaku stanowiącem ramę, otoczone są złotą obwódką.

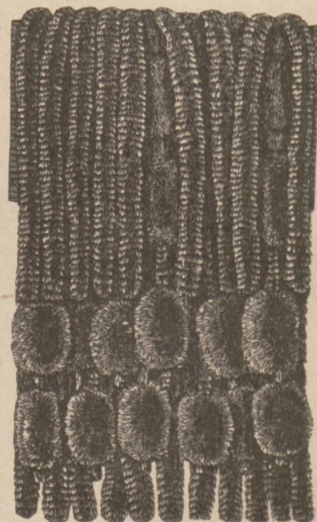
N. 7—12. Serwety z kolorowem wyszyciem.



N. 10. Frendzla szenelowa.



N. 16. Szlak ściegiem plecionym do serwety ryc. 7 w N-rze 47.



N. 11. Frendzla szenelowa.

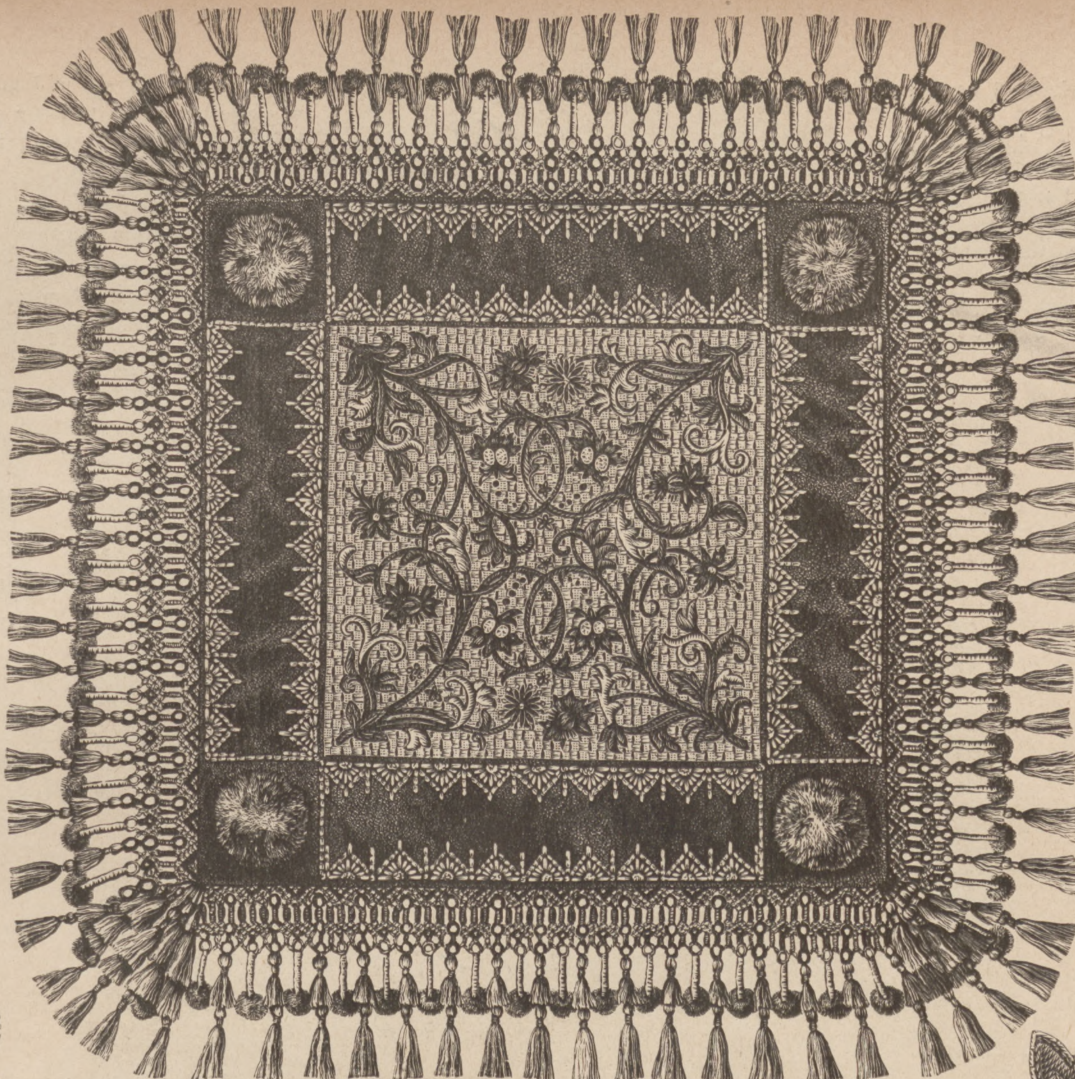


N. 17. Plecy. do ryc. 40.



N. 18. Przód do ryc. 41.


N. 19. Kapelusz okrągły filcowy z oszyciem sznelowem.


N. 23. Serweta haftowana na płótnie przerabianem w gęsią skórkę. Patrz ryc. 24—27.


N. 20. Kapelusz okrągły filcowy, koloru „terra cotta“.

N. 7 ryc. 16 w N-rze 46. Serweta na komodę wyszyta ściegiem plecionym.

Tło 67 cent. długie a 106 szerokie, stanowi płótno mocne, domowej roboty, wyszycie zaś dane bardzo grubą bawełną granatową. Na r. 16 w N. 46 daliśmy część deseniu w naturalnej wielkości. Ścieg pleciony opisywaliśmy już w roku 1881, tam więc odsełamy czytelniczki nie znające tej roboty. Zamiast płótna można tło dać z kanwy Jawa, Aïda lub t. p. a bawełnę zastąpić włóczką gobelinową na kłębkach z literami D. M. C. Z trzech stron dane kwaściki z białej bawełny i włóczki niebieskiej.

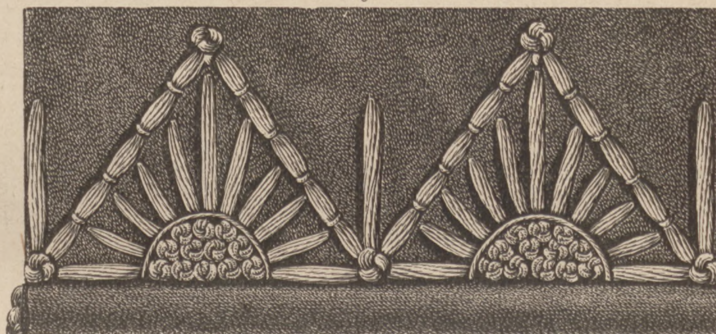
N. 9—11. Serweta z wyszyciem i kratką ażurową, patrz fig. 42.

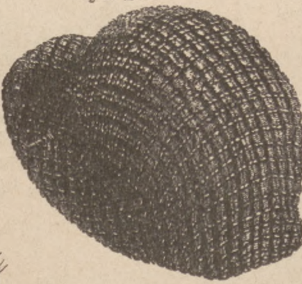
Liczy 77 cent. szerokości, a 81 długości; kratkę ażurową wskazuje ryc. 10; ażeby brzegi szlaku ażurowego zabezpieczyć od wysiepania nitek, podszywa się od spodu tasiemkę niciangą. Wyszycie krzyżykowe 80 ściegów szerokie, dane ponsowym jedwabiem podług fig. 42; wązki szlaczek wskazuje ryc. 10. Zamiast kratek ażurowych, można dać rzucik w drobne kwadraciki, jak na ryc. 11.

N. 13. Paletocik krótki. Krój na arkuszu N. III, fig. 13—16a.

Odrobiony jest z połyskującego materyału sznelowego koloru piaskowego wszystkie części formy zestawiają się podług odpowiednich liter; obłożenie 8 i 13 c. szerokie dane z futra bobrowego. Zapięcie urządzone na kryte płaskie guziki.

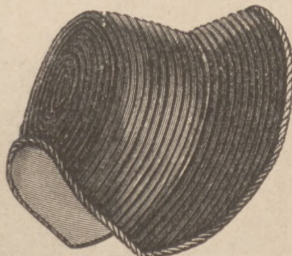

N. 25. Kwiat haftowany ściegiem płaskim, do ryc. 23.

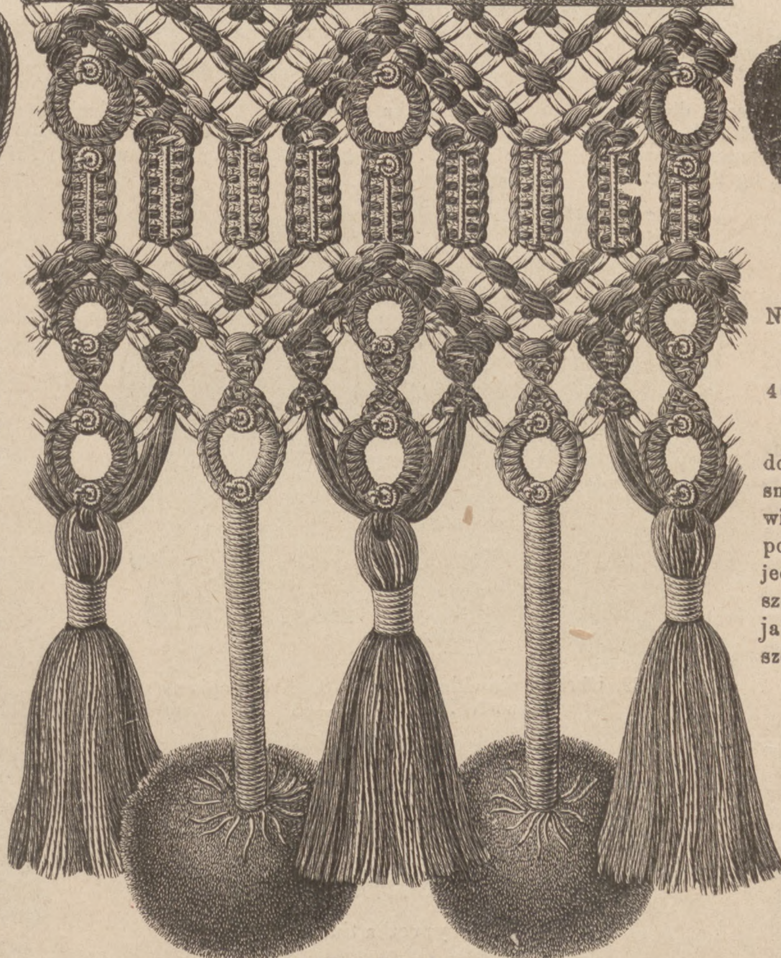



N. 26. Kwiat haftowany ściegiem płaskim do ryc. 23.

N. 8 i 12. Serweta na stół, z wyszyciem serbskiem.

Odrobiona jest na nowem rodzaju kanwy, znanej w handlu pod nazwą „ficelle d'or“ której grube nitki okręcane są nitką złotą, jak to wskazuje r. 12. Wielkość serwety musi być zastosowaną do stolika na jaki przeznaczona; na wysiepanie frendzli zostawia się z brzegów po 8 c. Powyżej wyszyty wązki brzeżek, stanowiący u góry i u dołu nakończenie szerokiego szlaku, liczącego 30 krzyżyków podanego w całości na r. 17 w N-rze 31 r. b. Do wyszycia użyta włóczka crevel i filozela w trzech cieniach ciuvre i w dwóch cieniach pawich i drzewnych; najjaśniejsze cienie daje się filozelą. Gwiazdki dane ściegiem luźnym filozelą zieloną, krzyżyki zaś oliwkową. Do frendzli dodaje się nitki włóczki i filozeli, których przewleczenie podług ryc. 12 stanowi razem nagłówek.

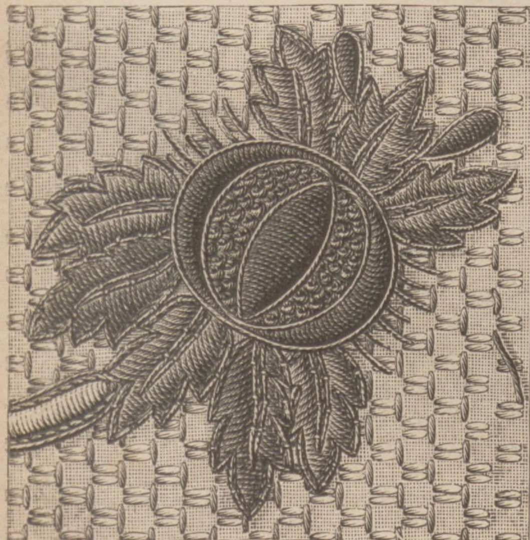

N. 21. Kapotka sznelowa koloru wiśniowego.


N. 24. Frendzla do ryc. 23.

N. 22. Kapotka sznelowa popielata.

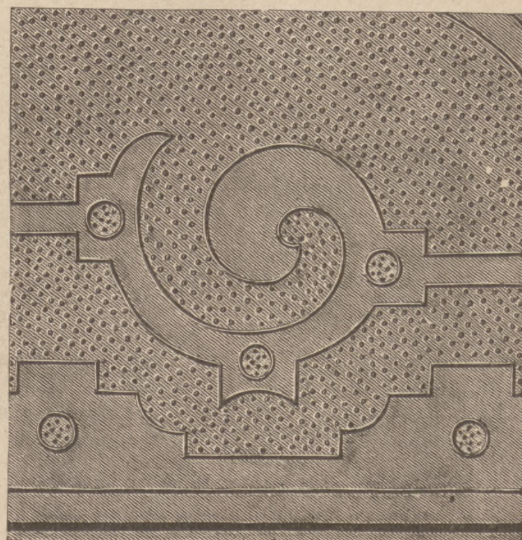
N. 24 Pelerynka robotą w ramach. Patrz ryc. 28—29 w N-rze 46. Krój jak do ryciny 29 w N-rze 45.

Czytelniczki wprawne w robotę wiązaną w ramach, dopasowawszy formę pelerynki, potrafią ją zrobić własnoręcznie. Lewą stronę roboty, wskazaną na ryc. 29 wiąże się z włóczki angielskiej, prawą stronę pokrywa podług ryc. 28 szenela, przyszywana grubym mocnym jedwabiem. Praktycznie jest podszyć pelerynkę podszewką jedwabną; ażeby ramiona odstawały wypukło jak tego wymaga moda, trzeba między wierzch a podszewkę wsunąć wałeczek z waty, mniej więcej 12 cent.


N. 27. Kwiat i wyszycie tła do serwety ryc. 23.


N. 28. Prawa strona roboty w ramach do r. 24 w N-rze 47.

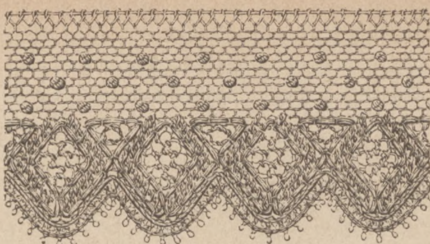

N. 29. Lewa strona roboty w ramach do ryc. 24 w N-rze 47.


N. 30. Część deseniu zdzieranego na skórze do r. 3 w N-rze 47.

długi. Brzeg dolny otacza frendzla sznelowa 8 cent. szeroka; kokarda pod szyją.

N. 25. Pelerynka pluszowa.

Uszyta z pluszu koloru loutre, na podszewce jedwabnej, dopasowana podług formy do r. 24, obłożona jest w około brzegów 5 cent. szeroko, sre-



N. 33. Koronka wywiedziona na tiulu.

długi, zaokrągla się u dołu i oszywa koronką stalową, daną w około brzegów; ułożenie na podstawie ze sztywnego tiulu wskazuje ryc. 27. Kokardy z aksamitki 2 i pół cent. szerokie, granatowego koloru.

N. 28. Krawatka do zawiązania na okryciu.

Stanowi ją kawałek krepy jedwabnej 132 cent. długi a 24 szeroki, na końcach oszyty suto



N. 32. Kapotka „Charlotte Corday“ Krój na arkuszu N. X, fig. 39.

namarszczoną koronką 9 cent. szeroką, daną raz u dołu prosto a drugi raz naszytą nieco wyżej w zęby.

N. 29. Kapelusz okrągły.

Odpowiedni dla młodej osoby, jest z fil-

N. 31. Kapotka hiszpańska. Krój na arkuszu N. IX, fig. 37—38.

brnemi lisami. Zapięcie na klamrę metalową.

N. 27. Żabot z materyi z połyskiem stalowym.

Kawałek materyi nowego rodzaju połyskującej jak stal, 20 cent. szeroki a 32



N. 35. Płaszczyk dla dziewczynki lat 8—10. Plecy, krój i opis na arkuszu z krojami N. VI, fig. 24—28a.

N. 36. Sukienka z vêtement dla panienki do lat 12. Krój na arkuszu N. VII, fig. 29—32.

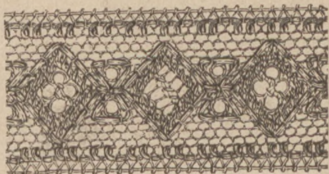
N. 37. Havelock dla chłopca lat 8—10. Krój i opis na arkuszu N. VIII, figury 33—36.



N. 40. Suknia z bluzką. Krój na arkuszu N. XXI, fig. 89.



N. 38—39. Ubranie dla chłopca lat 6—8. Krój i opis na arkuszu N. XIII, fig. 57—63.



N. 34. Wszyweczka tiulowa.

cu granatowego z długiem włosem; rondko 10 cent. szerokie jest z jednej strony podpięte kokardą z aksamitki 7 cent. szerokiej, która także opasuje główkę. Brzegi rondka objęte marszczonym skosem aksamitnym, 3 centym. szerokim.

(D. n.)



N. 41. Suknia z vêtement. Krój na arkuszu XX, fig. 88.